

Na czarodziejskim dywanie fal krótkich

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I.I. ŁÓDŹ, 6 marca 1960 r.

Nr 9 (105)

Cena 1 zł

DZIŚ ODCINEK I

KONRAD FREJDLICH

May, Baxter i... Makarenko



Fot. Lenkiewicz

czyli historia pewnego eksperymentu

Najpierw zobaczyłem dźwięk, przypominał „Adasia” z ulicy Piotrkowskiej. Tkwił w olowym niebie. Na wyburzonym rogu bawiły się dzieci, dwaj chłopcy i dziewczynka.

Po nieprzespanej nocy własne samopoczucie odbierałem jak coś stojącego poza mną — jako atmosferę Wrocławia. Drobną śnieg. Potem grzałem ręce na trzecim piętrze starej kamienicy, którą wojna oszczędziła tylko częściowo.

Płecyk pośrodku wydzielal więcej dymu niż ciepła w gęstej, zaciemnionej atmosferze poruszali się ludzie. Dymilo się nieustannie, ale potem zastąpił jakby ktoś zdjął. W kantorku Studencko-Harcerskiej Spółdzielni Pracy EWEKS (od eksperymentu w eksperymentach) stałem cały czas z księgowym, lekko lświejącym mężczyzną. Jedyne krzesło zajął kierownik techniczny, młody chłopak w berecie. Techniczny oderwał się na chwilę od roboty, potem powiedział:

— Więc da pan krzesła, czy posle czterdziestu chłopców, to wezmą z biura? Nie da rady tak cały czas na sztywnego.

— Pewnie, pewnie — rozkładał ręce znacząco księgowy, próbował się uśmiechać. Wtedy otwierały się drzwi, wchodziłi chłopcy. Pojedynczo; jak jeden stał przy biurku, drugi czekał przy drzwiach.

— Będzie forsa, czy nie? No, bo jak to szefie, ja się pytam przecież robiłem. Nie gorzej jak inni robiłem, a

zresztą jestem na liście,

Księgowy najpierw tłumaczył, potem machał ręką. Wtedy dzwonił telefon. Urzędniczka wysłana do

Dalszy ciąg
na str. 5

Pod tym tytułem znajdziecie w najbliższych numerach interesujący reportaż o krótkofalarstwie, najbardziej współczesnym ze sportów.

STANISŁAW
WORKIEWICZ
-SP7GV



Autor reportażu przy swojej stacji

TX — oznacza nadajnik

Niedzielne, zwykle, łódzkie południe. Zona krząta się w kuchni wokół obiadu. Ty siedząc w głębokim fotelu kręcisz galką twego „Mazura” czy „Woli” w pogoni za dobrą muzyką. Raptem coś to? — Gdzieś w pobliżu punktu zaznaczonego na skali zakresu fal krótkich liczbą 42 m wstrząszasz się w silny głos speakera, powtarzającego uparcie niezrozumiałe ci słowa: „Uwaga tu SP 7 KAN jak Santiago Portugal siedem Kilowat Ameryka Norwegia na wywołaniu ogólnym!” — Wsluchując się w śpiewnie modulowany głos, nawet nie domyślasz się, że to amator nadawca, gdzieś w pobliżu twojego domu uprawia swoje niecodzienne hobby.

Nagle po słowach: „Oddajemy wam mikrofon”, słyszysz kilka śpiewnych sylab — „da di da” i z nimi niski, słaby przydźwięk tła, na którym słyszałeś rozmowę. Zaciekawiony wzmacniasz siłę głosu galką po lewej stronie skali aż do oporu i gdzieś z gęstej magmy dźwięków wyławiasz słaby głos: „OK wszystko FB, SP 7 KAN w QTH Łódź, tu SP 5 KAB w Warszawie. Odebrałem was 100%. Wszystko OK!” —

Tak, nie ulega wątpliwości. To krótkofalowiec łódzki, ludzie zarażeni wirusem radiomanii odbywają swoje wędrowki po świecie na czarodziejskim dywanie fal krótkich.

Dniem i nocą anteny radiostacji amatorskich całego świata promieniują energię elektromagnetyczną fal krótkich o długości 80, 40, 20, 15, 10 metrów.

Mania wśród rondli i pod pulapem jonosfery

Zimą i latem, w słotę czy w upał, krótkofalowcy snują swoje nici w przestworzach, tkając gigantyczną sieć porozumienia. W słońcu Ekwadoru czy w lodach Arktyki, pajączyny anten ślą i od-

bierają słowa przyjaźni i braterstwa ludzi różnych ras, różnego wieku i różnej płci.

Kilka „wrzuconych” przełączników, kilka obrotów galek strojeniowych, a słowo rzucone w mikrofon, drwiąc sobie z wszystkich granic, łamie bariery celne i gdzieś pod pulapem jonosfery wędruje w dal bez wizy paszportowej.

Dziwnymi ludźmi są ci zapaleńcy — krótkofalowcy. Nierzadko w ciężkich warunkach, w przepelnionych izbach zawsze znajdują gdzieś kąt w kuchni, łazience, czy a strychu do pielęgnowania swojego konika. Żony, matki czy dzieci patrzą tolerancyjnie na ten tajemniczy świat transformatorów, lamp, cewek i kondensatorów, rozrzuconych w logicznym nieładzie na stołach, biurkach i parapetach, na owe tabu, którego dotknąć nie wolno osobie nieupoważnionej.

Zasiada więc nasz amator do swojej stacji. To nie, że żona hałasuje przesuwanymi rondlami, że dzieci w tym pomieszczeniu grają w Berka. Gumowe czasosłuchawki muszą odizolować go od dźwięków „pozaeterycznych”. I tak najpiękniejsza dla krótkofalarskiego ucha muzyka telegrafu, w której orkiestrze każdy jej członek wygrywa w innym kraju lub zgola na innym kontynencie swoje rytmiczne „piccato”, na długie godziny przenosi go w inny świat, świat niecierpliwych emocji najbardziej współczesnego ze sportów.

Gorzej, gdy zechce pracować dźwiękiem czyli fonią. Wszystkie z miejscowych źródeł dźwięki podchwytywane czułym uchem mikrofonu, przetworzone nadajnikiem w fale elektromagnetyczną i wyrzucane anteną w eter dochodzą do słuchawek korespondenta łącznie z owym hałasem przesuwanych rondli czy też płaczem dzieci. Czasami na życzenie strony drugiej do roz-

mowy włączają się kolejno wszyscy członkowie dziny. Ileż wtedy uciechy i samozadowolenia! Bo przecież skonstruowana własnymi rękoma stacja to rzeczywisty powód do dumy.

Kiedy owej niedzieli, kręcąc galką odbiornika wpadłem w środek dialogu dwóch krótkofalowców, niewiele zrozumiałem, mimo że obaj są Polakami. Dziwnym bowiem językiem posługują się ci zapaleńcy i fanatycy najinteligentniejszego ze sportów XX wieku.

Muzyka telegrafu

Od zarania ruchu krótkofalarskiego, kiedy fale radiowe zaczęły już mijać granice, wyłoniła się konieczność uproszczenia i skrócenia amatorskich rozmów telegraficznych. W owym czasie kraje anglosaskie wiodły prym w technice. Stąd poskracane wyrazy angielskie przyjęły się w całym ruchu krótkofalarskim jako tzw. slang amatorski, który z konieczności został przyswojony przez amatorów całej kuli ziemskiej. Prócz tego slangu istnieje jeszcze tzw. Kod „Q” i wiele innych umownych znaków, które uzupełniając slang stwarzają możliwości porozumienia się na dowolny niemal temat dwóch osób nie znających żadnego innego języka prócz ojczystego.

Tak więc dla przykładu: dwie litery wystukane alfabetem Morse’a

Dokończenie
na str. 4

JADWIGA JAŻDŻYŃSKA

Mówi się często, że stopień demokratyzacji społeczeństwa określa stanowiąco, jakie w tym społeczeństwie zajmują kobiety. I mówi się nie bez racji.

Kwestia społeczna kobiet jest stara jak ludzkość, sięga, jak mówią jedni, czasów Adama i Ewy, albo czasów niewolnictwa, jak mówi nauka. Wiadomo że bezpośrednim następstwem powstania instytucji prywatnej własności w społeczeństwie pierwotnym stało się niewolnictwo. A jednak zanim pierwszy niewolnik ugiął kark przed biczem właściciela, już jego własnością była kobieta.

W księgach indyjskich Manu znajdujemy wzmiankę stwierdzającą, że kobieta jest podstępna i fałszywa, dlatego też na równi z dziećmi i szalonymi powinna być trzymana krótko, a karaną biczem. Chinczyce wierzyły, że nieśmiertelna dusza posiadała tylko mężczyzna. Koran nauczał, że bramy raju zamknięte są na wieki dla kobiet. Żydzi nie dopuszczali kobiet na równi z mężczyznami do udziału w nabożeństwie.

W Grecji, gdzie rozwinęła się wspaniała filozofia, sztuka i polityka, instytucja rodziny pozostała prawie bez zmian. Kobieta ginąca wśród służby i niewolników nadal stanowiła absolutną własność mężczyzny. Greczynka, na ogół wcześniej wydawana za mąż, żyła oddana od świata, nie brała udziału w życiu towarzyskim czy też publicznym.

Kobieta rzymska brała udział w życiu towarzyskim a nawet publicznym — czystościach, jednak pod względem prawnym pozostawała nadal pod opieką mężczyzny. Wszystkie zdobyte republikańskie omiały kobietę w sensie prawnym.

Nowe formy produkcji i nowe sposoby zarobkowania wyłoniły wreszcie sprawę kobiecą, jako kwestię ekonomiczną i wtedy dopiero zaczął się problem aktualny po dzień dzisiejszy.

Nim jednak tak się stało, kobieta średniowieczna szła do klasztoru jeżeli sraćcia mąż. Bez mężczyzny nie nie znaczyła. W okresie feudalizmu mężczyzna — rzemieślnik uważał za rzecz niegodną pracować obok kobiety — rzemieślnika. Owszem, zatrudniano w warsztatach żony, córki i matki, ale nie mogły one zostać członkami cechu, ani pracować na własny rachunek.

Revolucja przemysłowa, wprowadzenie maszyny, dokonała w życiu kobiet swobodnego przełomu. Kobiety zyskały prawo do ciężkiej pracy ale nie prawa obywatelskie.

Wraz z powstaniem proletariatu fabrycznego życie kobiety podzieliło się już wyraźnie na dwie części — pracę zarobkową z jednej strony, a obowiązki domowe z drugiej.

W tym czasie gdy kobieta szła do fabryki działała na terenie Polski słynna Komisja Edukacji Narodowej. Trudno nie docenić jej wielkości. Trzeba przecież pamiętać, że Komisja opracowywała program nauczania także i dla szkół żeńskich wszelkich typów, mówiła więc o prawie kobiety do nauki. Nasi reformatorzy wychodzili ze słusznego założenia, że naród będzie taki, jacy będą wychowankowie szkół i dlatego nie pominęli żeńskiej części społeczeństwa. Rozbiór Polski przerwał działalność Komisji. Jej akcja została podjęta na krótko zresztą przez Izbę Edukacyjną Księstwa Warszawskiego, podjęta przez kobiety z arystokracji, tak zwane „eforki”. Sprawa o tyle przynajmniej ważna, że mamy tu do czynienia w gruncie rzeczy z pierwszą akcją zbiorową kobiet w polskim życiu publicznym.

Tak więc kobiety z klas posiadających pierwszej połowy XIX wieku rozpoczęły swoją działalność od reformy wychowania, w którym nie naruszając podstawowych stosunków ekonomiczno-klasowych.

Około roku 1850 pojawił się silny ruch kobiecy „Entuzjastki”, walczący o otwarcie przed kobietami możliwości rozwoju intelektualnego i zawodowego. W ówczesnej kulturze polskiej znane są nazwiska „entuzjastek”. — Narcyzy Żmichowskiej, Anny Skimborowiczowej, czy Anieli Chlebowskiej, żony Edwarda Dembowskiego. „Entuzjastki” zyskały poparcie rewolucyjnych demokratów — Dembowskiego, Kamińskiego i innych.

Kobiety — inteligentki działały bardzo żywo w okresie pozytywizmu, a więc „po” latach sześćdziesiątych XIX wieku. W tym właśnie czasie szereg Polek zyskało duże znaczenie nie tylko w kraju ale i za granicą. Dość będzie wspomnieć wybitnego naukowca Curie-Skłodowską — Zofię Jotejkę, pedagoga i naukowca Marię Golińską — Dąbrowską, czy wreszcie znakomite pisarki, jak Konopnicką, Zapolską czy Orzeszkową. Ich osiągnięcia torowały drogę kobietom do nauki, a „Marta” Orzeszkowej wstrząsnęła opinią polską i zagraniczną. W tym czasie, u schyłku XIX wieku rozpoczęły kobiety szturm na uniwersytety, placówki naukowe, wychowawcze i instytucje społeczne.

Istniała jednak zasadnicza różnica pomiędzy ruchem kobiet inteligentek i wywodzących się z klas posiadających a walką kobiet proletariatu.

Kobieta ziemianka, panna ze dworu, córka bogatego kamienicznika, a nawet przemysłowca, przygotowywana była głównie do życia salonowego i towarzyskiego. A jednak burzliwy rozwój kapitalizmu podciął znaczenie dworu, dwory upadły, kobieta stała się bezradna wobec wymogów nowoczesnego życia. Długi czas jedynym dla niej dostępnym zajęciem była funkcja damy do towarzysztwa w zamożnym domu, lub praca nauczycielki domowej. O prawo do każdej pracy, prawo do nauki, nieskrępowanego rozwoju intelektualnego musiała walczyć przez długi czas. Dość

Nasza szkoła

Ostatnio modne stało się w prasie drukowanie śmieszności wyciąganych ze szkolnych zeszytów. Przeczytałem: „Dawniej ludzie pracowali za pieniądze albo czasem jeszcze gorzej”. Pomyślałem tedy, że zabawa taka może służyć nie tylko do zabawy. Odwiedziłem jedną z łódzkich szkół średnich, żeby poczytać sobie zeszyty i porozmawiać o przeszłości.

Interesowała mnie przeszłość najbliższa, tj. okres międzywojenny i trochę okupacja. Żeby jednak zrozumieć, jaki obraz pojęciowy tego ówczesnego życia w sztabach głowach — okazało się ciekawym wypisywanie sobie zwykłych, humorystycznych kwiatków dotyczących historii w ogóle. Prowadziło to bowiem do wniosku, że zdolność wyobraźni sobie ludzi, zjawisk, wydarzeń, sytuacji związanych z osobą Piastów, Piastów i Józefa Becka jest mniej więcej jednakowa i jednorodna.

W szkolnej nauce historii występujące w dziejach postaci, które odgrywały rolę eksponowaną, dzielą się na pozytywne bohaterów i szwarcowców. Osoby portretowane metodą „ni pieś, ni wydra” typu Stanisław August Poniatowski należą do rzadkości.

Dla człowieka, który istniał jako istota rozumna w okresie, który potem, za jego życia przeszedł do historii, takie szkolne podziały są nie do zaakceptowania. Przeciwnie osobnik pięćdziesięcioletni, który ongiś wraz z tłumem płakał na pogrzebie Piłsudskiego czy witał w Warszawie 39 na cześć Rydza, ów osobnik, który czytał wówczas gazety i podlegał odpowiedniemu systemowi propagandy, dziś też na ogół podlega czy też podlega procesowi przemiany wartości. Afirmuje punkt widzenia i system wartościowania prezentowany mu przez marksistowskie badania historii najnowszej. Ale tym procesom rozumowym nie towarzyszy uproszczenie, czarno-białe widzenie przeszłości, ani zafarbowanie pewnej wyobraźniowej wiedzy o wypadkach, których był świadkiem.

Jego syn zajęty aktualnie odśladką na szkolnej ławce nie sobie nie wyobraża, nie zna klimatu epoki, nie ma

pojęcia, jak to wyglądało. Wyczytuje z podręcznika wiadomości o faktach i racjach, których nie ma. Dlatego wszystko, co w podręczniku historii widnieje w bilansowej pozycji „dobro”, uważa za dobro do absolutu, a zło jest też złem — do absolutu.

Brak miejsca nie pozwala mi na operowanie przebiegiem rozmów i cytata z zeszytów. Ograniczę się więc do streszczenia poglądów i wyobrażeń najciekawszych. Jedną tylko informacją: w owej szkole historii ma lat 26, a polonista 29.

genekle rodziny. Podsuwam, że na pewno wśród znajomych jego rodziców są ludzie, których można było przed wojną zaliczyć do tej kategorii. Uczeń długo myśli, bo nie wie, czym zajmował się ci ludzie przed wojną, ale w końcu takiego odkrywa. Jest to odkrycie kłopotliwe. Nie może w kierunku owego konkretnego pana zaadresować tych wyobrażeń i odczuć, jakie dyktuje mu podręcznik. Mechanicznie wyobraża sobie, że istniał wtedy wyzyskiwany naród, ten sam co teraz zaludnia Polskę i jakieś gro-

Wyobraża sobie Polskę okupacyjną jako jakiś teren gdzie hitlerowcy bez chwili przerwy wszystkich mordowali. I każdy kto przeżył — zawdzięcza do spłotowi indywidualnych, nadzwyczajnych cudów. Nie wyobraża sobie więc uczeń, że w tych warunkach istniało jakieś życie potoczne, normalne w tym sensie, że ludzie się dalej lubili i nie lubili, bywali u siebie lub nie bywali, wiodło im się lepiej lub gorzej. Jednym słowem, że nastąpiło spoleczne przystosowanie się do warunków, w których groziła śmierć. I że groźba tej śmierci też związana była z pewnymi regulami gry.

Nie wyciągam z tej wizyty w szkole żadnych wniosków dotyczących samego systemu nauki historii. Nie znam się na tym. Nie wiem, czy jest realny postulat, by wiedza o przeszłości podobna była bogactwem myśli i wyobrażeń do wiedzy o teraźniejszości.

Mniemam tylko i to mniemanie chcę wyrazić, że my dorośli, pasjonujący się wciąż i bezustannie problematyką ostatniego ćwierćwiecza jako czymś żywym i bezpośrednim nas obchodzącym, spychamy się sami do roli kostycznych dziadków, którzy stają się coraz to komiczniejsi i coraz mniej zrozumiałymi dla młodzieży. Że przypominamy bonzartystów z prusowskiej „Lalki” lub monarchistów-habsburskich z kawiarni Noworolskiego w dzisiejszym Krakowie. A warto tu wspomnieć, że u tego Noworolskiego również komicznie są ci, co stoja za monarchią jak i dziadkowie-adlerowcy, którzy są przeciwni.

Żeby odmłodnić, musimy się jednak przejąć poglądami, że przed wojną to ludzie pracowali za pieniądze, albo czasem jeszcze gorzej.

BELFER

BIAŁE
i CZARNE

Uczeń klasy IX.

Da niego wyobrażenie Polski międzywojennej nie jest jasne. Z jednej strony — że można było ją zmieścić w obrazie nędzy i rozpacz — a z drugiej — powiada własny ojciec, że przed wojną nie było znowu tak źle, przynajmniej temu, kto pracował. Wyzyskiwacze urastali do roli okrutnych nędźników, zajmowali się głównie prowadzeniem zysków i przepiękaniem ojczyzny, w które zresztą nie wierzyli.

Nie pojmuje on tego, że np. jakaś część wyzyskiwanych i jakaś część mniejszych wyzyskiwaczy nie miała wówczas świadomości, że są wyzyskiwani, czy też odpowiednio, że wyzyskują.



Z powyższego braku wyobraźni wynika też jednoznaczność czarno-białe ocen moralnych. Mordercy i wyzyskiwacze mają dla niego postać nieczłowieczą. Świadomość, że tym drugim może być np. pan przechodzący teraz na jego oczach ulicą — jest zgola śmieszna. Rozmówca jest z intelli-

no osób — wyzyskiwaczy, stanowiących „coś zupełnie innego”. Ilość ta była taka — że można było ją zmieścić na raz w jakiejś dużej sali. Zaś po 45 r. owo grono dzwonych, niezrozumiałych i świeży człowieczych istot zapewne piekło pochłonęło.

Okazało się, że nie zmniejszą tu już dalszych rozmów, cytatów zeszytowych i przykładów. W zasadzie ta przytoczona rozmowa była syntetyczna i reprezentatywna. Rezygnuję więc tylko z ilustrowania owej wizyty.

Wszystko to mnie nie zaskoczyło. Po prostu przywiodłem na pamięć moje konkretne wyobrażenia o takich odległych zjawiskach historycznych jak Targowica, literatura o niewolniczej starożytności itp. Ostatecznie współczesne szkolne wyobrażenia o bliższej przeszłości są takie, jak nasze szkolne wyobrażenia o dalszej przeszłości. Nie tu nowego, nie szokującego. Nie sposób wznieść się w okres poprzedzający własne urodzenie. Przynajmniej wymaga to gruntowniejszych studiów. Przypuśćmy — okupacja: młodzież zna literaturę traktującą o tym okresie w dosyć bogatym wyborze. Wszakże pewne zreszczenie tematów naracyjnej traktuje jako adekwatny obraz tych czasów.

wspomnieć, że Uniwersytet Jagielloński otworzył kobietom drzwi dopiero w roku 1894, a lwowski w 1896.

Kobieta — proletariuszka od wczesnej młodości pracowała w fabryce. Właśnie tutaj u boku robotników, walczyła o byt i prawa polityczne. Nie była więc sa-

chem robotniczym. Sama organizuje i przemawia na zebraniach, prowadzi biuro partii, objeżdża prowincję, wiąże sieć kontaktów. Uczestniczyła w manifestacji robotniczych na Placu Zamkowym, tuż pod oknami: generała — gubernatora Hurki. Zmarła w drodze na Syberię.

tym kongresie, z inicjatywy Klary Zetkin, wybitnej działaczki lewicy Niemieckiej Socjaldemokracji proklamowano dzień 8 marca Międzynarodowym Dniem Kobiet.

W naszym mieście wię-

kolwiek wymogom higieny, do tego za tę samą pracę otrzymywała kobieta niższe wynagrodzenie niż mężczyzna.

„Dobrodziejstwa” ustroju kapitalistycznego spadały przede wszystkim na kobiety. One najbardziej odczuwały grozę sytuacji, zagrożenie najbliższych członków rodziny, one przecież odpowiadały za dzieci, ich wyżywienie, ubranie, naukę. Macierzyństwo zawsze bowiem oznacza większe obowiązki rodzinne niż ojcostwo.

Od dwóch lat załoga fabryki Hooblera nie zarabiała pełnej dniówki. Nawet gdy zakład pracował tylko dwa dni w tygodniu, robotnice z własnej woli pracowały tylko po jednym dniu, aby nie skazywać swoich towarzyszek na bezrobocie. Komitet Strajkowy, składający się z robotnic — Oleczyńskiej, Włodarskiej, Barwinkowej, Jaranowskiej i innych — ogłosił strajk w dniu 20 stycznia 1938 roku. Przez kilka miesięcy robotnice okupowały fabrykę. Pod zakład przychodził

KARTKI Z DZIEJÓW KOBIETY

siadających a walką kobiet proletariatu.

Kobieta ziemianka, panna ze dworu, córka bogatego kamienicznika, a nawet przemysłowca, przygotowywana była głównie do życia salonowego i towarzyskiego. A jednak burzliwy rozwój kapitalizmu podciął znaczenie dworu, dwory upadły, kobieta stała się bezradna wobec wymogów nowoczesnego życia. Długi czas jedynym dla niej dostępnym zajęciem była funkcja damy do towarzysztwa w zamożnym domu, lub praca nauczycielki domowej. O prawo do każdej pracy, prawo do nauki, nieskrępowanego rozwoju intelektualnego musiała walczyć przez długi czas. Dość

motna, dzieliła los klasy wyzyskiwanej. Wiele znanych działaczek — inteligentek przyłączyło się w tych warunkach do robotniczych związków kwestię pełnego wyzwolenia kobiety z walką proletariatu.

Kiedy w roku 1874 wpadł w ręce carskiej policji Ludwik Waryński, oceniający pogromu działaczy skupiła wokół siebie kobieta — Maria Bohuszewiczówna.

Bohuszewiczówna była wnuczką Tadeusza Kościuszki, pochodziła więc z rodziny, gdzie tradycje walki wolnościowych, ideały równości obywatelskiej, zawsze były żywe. I oto delikatna, zdawać by się mogło, panna przez cały rok kieruje ru-

Sprawie wyzwolenia kobiety, jako części walki o wyzwolenie społeczne robotników, oddała wielkie usługi. Filipina i Zofia Plaskowicz, Maria Jentys, Rozalia Felsenhardtówna, Maria Hildtowa, Cezaryna Wojnarowska i długi szereg innych kobiet-rewolucjonistek.

Zwycięstwo ideologii marksistowskiej, powstanie masowych partii robotniczych zadecydowało o losach ruchu kobiecego. Lewica partii socjaldemokratycznej bardzo szybko dostrzegła wagę problemu wyzwolenia kobiety, co zresztą znalazło oficjalny wyraz na kopenhaskim kongresie tych partii w roku 1911. Właśnie na

szłość kobiet zatrudniały fabryki włókiennicze. W roku 1925 pracowało w Łodzi 69 tys. włókienniczek, w tym 32.000 kobiet i około 3.000 młodocianych, przezwanych zresztą dziewczętami. Przemysł naszego miasta zatrudniał około połowy włókienniczy całego kraju i dlatego Łódź tak bardzo jest charakterystyczna dla ruchu kobiet.

Mimo względnie postępowego ustawodawstwa w zakresie pracy kobiet i młodocianych (ustawa z grudnia 1919 roku) położenie łódzkich robotnic było nad wyraz ciężkie. Fabrykanci z reguły łamali ustawy o ochronie pracy, a fabryczne urągali jakim-

Dokończenie
na str. 11



Dr Aslan (pośrodku) w rozmowie z doktorem Moskwą i z pacjentem

Aslan odzyskał na tyle pamięć, iż może występować w głównych rolach. W Instytucie leczy się również trzej Polacy. Jeden z nich jest nawet kierownikiem warsztatów, gdzie pracują pensjonariusze zakładu.

— Jaki jest przebieg leczenia w Instytucie?

— Nim pacjent zostanie poddany kuracji musi przejść serię badań w czasie któ-

lat choć skutki jej są już widoczne po 2-3 miesiącach. Leczenie trzeba często wznowiać. Niektórzy pensjonariusze przebywają w Instytucie na stałe i tutaj też pracują. W cięższych przypadkach zabiegi odbywają się w ambulatorium. W ciągu 10 lat istnienia Instytutu przewinęło się przez klinikę prof. Anny Aslan 26 tys. ludzi potrzebujących pomo-

55 DNI BEZ JEDZENIA

Przeczytane w londyńskiej gazecie: „Krokodyl może przeżyć 740 dni bez jedzenia, żółw — 510, żaba — 365, rekin — 112, kosa — 105, pies — 103, człowiek — zaś, niestety, najwyżej 55 dni”.

rych przebywa pod ścisłą obserwacją 26 lekarzy. Po tem wstrzykuje mu się domięśniowo, dożylnie bądź podskórnio, a czasem podaje w pastylkach — nowokainę zwaną gerowitalem. Eliksir młodości to nie innego, jak nowokaina dwuprocentowa. Z tym jednak, że nowokaina rumuńska różni się od produkowanej u nas. Rumuni nie kwapią się ze zdradzeniem tajemnicy „eliksiru” o

cy lekarskiej. W 80 procentach leczenie zakończyło się wynikiem dodatnim lekarze wygrali wyścig ze śmiercią.

— Czy nowokainę można wstrzykiwać wszystkim?

— Nie zapominajmy ciągle że jest to metoda zupełnie nowa i z jej stosowaniem jest związane pewne ryzyko. Są poza tym ludzie uczuleni na nowokainę, w takim wypadku niewiele już można im pomóc. Nowokaina leczy

LUDZIE EPOKI

Liczba ludzi, którzy przekroczyli 100 lat, wynosiła w poszczególnych krajach Europy na każde 100 tys. ludności:

W Norwegii	153
W Szwecji	81
W Anglii	67
W Finlandii	24
W Niemczech	20
We Francji	13
W Szwajcarii	5
We Włoszech	15

(dane sprzed pierwszej wojny światowej)

„Normalną długość życia ludzkiego osiągalną w obecnym okresie rozwoju ludzkości, ocenia nauka na 125-150 lat.

„Nie ma jednak żadnych podstaw, aby uważać te liczby za nieprzekraczalne”.

A. Bohomolec

Być zawsze młodym — znane to od wieków marzenie ludzkości o cudownym eliksirze, który uwolniłby człowieka od lęku przed starością.

Prof. Anna Aslan z Instytutu Gerontologii (nauka o chorobach starości) w Bukareszcie zauważyła, że starszokowe, którym

skłoniło prof. Aslan do dalszych obserwacji i szczegółowych badań.

O tych badaniach było jednak mało przez 10 lat. Wiadomo bowiem, że wszystkie tego rodzaju odkrycia spotykają się z uzasadnionym sceptycyzmem w świecie naukowym. Dopiero w ub. roku liczne wy-

Wyścig ze śmiercią NA TROPIE ELIKSIRU ŻYCIA

ba, z której należy ludzi leczyć tak samo jak z każdej innej choroby.

W krótkim czasie Instytut Geriatrii w Bukareszcie stał się prawdziwą Mekką naukowców i centrum międzynarodowych wycieczek. Odwiedziło go już 400 delegacji zagranicznych. Przez dwa miesiące w Instytucie przebywał także łódzki lekarz dr Walenty Moskwa.

— Choć w nauce, a zwłaszcza w medycynie, należy zachować umiar w wydawaniu sądów — mówi dr Moskwa — to co widziałem w Bukareszcie pozwala przypuszczać, iż medycyna jest w posiadaniu potężnego środka w walce ze starością. Rozmawiałem z 114-letnim pensjonariuszem kliniki. Par sehem Markosjanem. Kiedy go tu przywleczono ważył 40 kg i ledwo trzymał się na nogach. Po 4 latach leczenia Markosjan waży 60 kg a siła jego uścisku przy powitaniu świadczy niewątpliwie o tym, iż nie jest to człowiek stary. Obecnie Markosjan pracuje jako portier nocny w Instytucie... a pewnemu awanturnikowi porządnie nadwodził grzbiet. Były starszek odzyskał nie

tylko siłę, ale również jasność umysłu, jego twarz jest jedrna i gładka.

— A inne przykłady?

— Licząc sobie ponad 60 lat była solistka opery bukareszteńskiej od 20 lat nie występowała już na scenie. Po kuracji nowokainowej śpiewa w chórze. 76-letnia nauczycielka po wstrzyknięciu nowokainy odzyskała pamięć i uczy swoich uczniów... 8 obcych języków. Jeden ze znanych konstruktorów i budowniczych wież wiertniczych dla przemysłu naftowego po powrocie z Instytutu pracuje nadal na swoim stanowisku. A ma już 77 lat. Wybitny aktor dramatyczny starszego pokolenia po leczeniu przez prof.

patentowali swój preparat i sa w tej chwili na świecie najpoważniejszym producentem gerowitalu. Wyrób tego specyfiku kosztuje grosze. Nie przeto dziwnego, że handel nim jest niezwykle intensywny. Lekarze z krajów zachodnich zakupują poważne ilości tego specyfiku w Rumuni i sprzedają go po horrendalnych cenach pacjentom. Utało się już powiedzenie że rumuński bilans handlowy opiera się na nafele... i eliksirze młodości.

— Ale wróćmy do tematu...

— Skutki metody nowokainowej zależą oczywiście od wieku i stanu pacjenta. W niektórych przypadkach kuracja może potrwać kilka

jedynie: przejawy sklerozy naczyń krwionośnych, zaburzenia psychiczno-nerwowe, reumatyzm, zwłaszcza reumatyzm zniekształcający

kończyny, wrzody dwunastnicy i żołądka, zaburzenia płciowe i hormonalne, nerwice serca, dusznicę bolesną, trudno gojące się rany... i zapobiega tyfoidowi bądź powoduje wzrost bujnych włosów. W innych przypadkach nowokaina nie skutkuje. Lista chorób starczych, które medycyna może zwalczyć jest już dziś dość duża. Warto przy okazji dodać, iż uczona zastosowała ten sam preparat przed dwoma laty w celu zwiększenia odporności na grype azjatycką.

— Czy osiągnięcia rumuńskich geriatrików zostaną przeniesione do klinik polskich?

— Rewelacyjne odkrycie prof. Anny Aslan narobiło wiele zamieszania w świecie naukowym. Mimo panującego powszechnie sceptycyzmu nawet największe autorytety w dziedzinie medycyny schyliły czoło przed praktycznymi osiągnięciami rumuńskiej uczony.

Instytuty Gerontologiczne buduje się obecnie w ZSRR, NRD i wielu krajach zachodnich. Powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Geriatriczne, do którego chyba niedługo przystąpią lekarze polscy. Sekcja geriatryczna działa również przy Łódzkim Towarzystwie Fizjologicznym którego sekretarzem jest właśnie dr Moskwa. Zdaniem dr Moskwy niewielkim kosztem można by stworzyć odpowiednie warunki rozwoju geriatrii w Polsce. Trzeba, przede wszystkim stworzyć laboratorium doświadczalne, gdzie przeprowadzamy eksperymenty ze zwierzętami. W jednym z ośrodków przemysłowych powinno powstać ambulatorium geriatryczne, do którego mogliby zgłaszać się po porady robotnicy. Można też jeden dom czasowy przeznaczyć wyłącznie dla ludzi w wieku podeszłym. Byłby to załazek swego rodzaju kliniki geriatrycznej. Trudno o bardziej ekonomiczną drogę rozwoju dla polskiej geriatrii.

Rozmawiał
TADEUSZ CEGLAŃSKI

NAJSTARSZA BABKA W ŁODZI

Maria Wschodnik jest najstarszą mieszkanką Łodzi. Ukończyła właśnie 110 lat. Babcia Wschodnik przebywa w zakładzie opiekuńczym przy ul. Wróblewskiego. Wprawdzie ostatnio więcej leży, ale czuje się nie najgorzej i bardzo interesuje się bieżącymi sprawami.

Marii Wschodnik życzymy 200 lat!

przez dłuższy okres czasu wstrzykiwano w celach leczniczych nowokainę — młodsze. Stają się rześcy, ich chód elastyczny i lekki, a skóra traci zmarszczki. Oprócz zmian fizycznych następowały również duże zmiany psychiczne — polepszenie samopoczucia, powrót pamięci. To odkrycie

stąpienia 61-letniej prof. Anny Aslan na forum międzynarodowym wywołało olbrzymie zainteresowanie lekarzy z całego świata. Rumuńska uczona podała m.in. na konferencji lekarskiej w Londynie wyniki swoich badań nad leczeniem starości preparatem H-3. I oświadczyła, iż starość jest choro-



Oto zdjęcie kobiety: przed leczeniem, po roku leczenia, po dwóch latach leczenia



(Dokończenie ze str. 1)

„CQ” — oznaczają wywołanie ogólne
„K” — proszę nadawać
„QRX” — proszę zaczekać
„73” — pozdrowienia
„88” — pocałunki
„QSY” — przejdź na inną częstotliwość
„QRG” — która godzina, itd.

W tych skrótach Krótkofalowcy nazywają siebie „OMs” (od Old Man) — pan-ny — „YL” (od Young Lady), żony — „XYL”.

Operując kodem i slangiem można nie znając języka ojczystego swego korespondenta pogaworzyć z nim telegraficznie na różne tematy. Szczególnie chętnie krótkofalowcy wymieniają dane techniczne skonstruowanych przez się urządzeń, i tak znowu:

„TX” — oznacza nadajnik,
„RX” — odbiornik,
„tb” — lampa,
„WX” — pogoda itd.

Wystukanie kluczem tekstu: „Sri dr Om, only part ok, mni QRM es QSB 4, condx vy bd, ur ton QRH, nw QRU es QRT pse 2morrow sked at 14,30 GMT on 14100 kc/sok? Pse hw? ark” — oznacza dla przykładu: Bardzo żałuję drogi przyjacielu. Odebrałem tyl-

ko część Twojego nadawania. Są liczne przeszkody i zakłócenia ze strony innych radiostacji i siła Twojego sygnału spada na skutek fadingu do 4. W ogóle warunki do łączności dalekosiężnych są bardzo złe. Twój ton zmienia częstotliwość. Teraz nie mam już więcej nic dla Ciebie i kończę łączność. Proszę jeśli możliwe o spotkanie na jutro o godz. 14.30 wg czasu Greenwich na częstotliwości 14100 kc/s. Czy zgoda? Proszę odstukać, jak tym razem mnie odebrałeś. Przechodzę na odbiór, proszę nadawać.

„Hpe cuagn, mni 73 fr ur XYL es best dx” — oznacza dalej: Spodziewam się usłyszeć Cię wkrótce znowu. Złączam najserdeczniejsze pozdrowienia dla Twojej małżonki i życzę jak najlepszych łączności dalekosiężnych.

Dla niewtajemniczonych dodam, że na kluczu Morse’a można nawet się śmiać (sic!). Slang i to przewidział. Wystarczy wystukać dwie litery „hi” z wykrzyknikiem a nasz korespondent domysła się, że w tej chwili uśmiech rozjaśnił Two oblicze.

Oczywiście przy łącznościach fonicznych lepiej jest znać język angielski lub język korespondenta. Gdy masz trudności w czasie łączności fonicznej, możesz przejść na slang wymawiany alfabetem Morse’a. Wtedy zostaniesz na pewno zrozumiany.

GDY 3-minutowa łączność z Ameryką kosztowała 15 funtów

Jaka jest geneza ruchu krótkofalarskiego i czemu należy zawdzięczać rozwój tego najtrudniejszego ze sportów?

W latach pierwszej wojny światowej radiofonia wyko-

TX — oznacza nadajnik

rzystywała do komunikacji tylko fale długie i średnie. Przez długie lata uważano, że fale krótkie (10—200 m), o których istnieniu już wiadano, nie nadają się do celów komunikacyjnych. Tak więc do łączności między Europą a Ameryką używano nadajników pracujących na falach długich, o olbrzymiej mocy, inwestując w nie zawrotne sumy. Wystarczy nadmienić, że 3-minutowa łączność kosztowała 15 funtów szterlingów.

W 1923 r. francuski domorosły amator Leon Delay, dłużąc koło swego urządzenia uzyskał po raz pierwszy łączność z USA na fali krótkiej. Kiedy wreszcie ruch amatorski systematycznymi łącznościami międzykontynentalnymi udowodnił opornym sceptykom, że fale krótkie są jakgdyby predestynowane do pracy dalekosiężnej, i graski krótkofalowców zwróciły uwagę wielkich firm i rządów. Dziś fale krótkie są tak gęsto zapchane stacjami komunikacyjnymi, morskimi, handlowymi, wojskowymi i radiofonicznymi, że właściwych odkrywców przydatności tych fal do powyższych celów zepchnięto na wąskie wycinki pasm na falach 80, 40, 20, 15, 10 metrów.

Praca na falach krótkich wymaga bardzo małych urządzeń, a tym samym obniża niewspółmiernie koszty instalacji urządzeń nadawczych. W tym tkwi właśnie potęga fal krótkich. Warto zaznaczyć, że przy mocy jaką daje lampa głośnikowa silniejszego od-

biornika radiofonicznego, a więc przy mocy około 5 watów można z powodzeniem nawiązać łączność z całym globem ziemskim. Nadajnik tej mocy nie jest większy gabarytowo od przeciętnego odbiornika radiowego.

Krótkofalowiec z Lublina pracując nadajnikiem o mocy 4 watów (sic!) w przeciągu kilku miesięcy uzyskał połączenie telegraficzne z ponad 500 stacjami amerykańskimi. Należy dodać, że w obecnych warunkach trudniej jest przebić się przez gęstwę dźwięków innych silnych stacji aniżeli to miało miejsce przed 30 laty, kiedy to eter był raczej pustych na tych długościach fal.

Tajemnica potęgi fal krótkich

W czym tkwi tajemnica tak dużej użyteczności fal krótkich? Propagacja czyli rozprzestrzenianie się tych fal jest z racji ich natury inne niż fal długich. Fale krótkie wędrują bowiem nie wzdłuż powierzchni ziemi, jak to czynią fale dłuższe, lecz promieniowane przez antenę pod pewnym kątem do ziemi, biegną w górę przebijając warstwę atmosfery do wysokości 200—300 km. Tam napotyka ją na warstwę zjonizowanego (naelektryzowanego) powietrza, która posiada zdolność odbicia tych fal i skierowania ich z powrotem na ziemię. Ta warstwa jonosfery zwana warstwą Heviside’a

(od nazwiska odkrywcy) działa więc podobnie jak lustro. Fala krótka wracając na ziemię w odległości np. 1000 km od stacji, odbija się powtórnie tym razem już od niej i wraca znowu do jonosfery. Kolejne odbicia powodują, że fala taka może swą zygawkatą wędrowką obieć cały nasz glob kilka razy. Trzeba było wielu eksperymentów notowanych przez tysiące amatorów eterowego szaleństwa, by te tajniki fizyki zbadać i przyswoić dla dobra ludzkości. Dziś podobnie jak kiedyś przed 40 laty, amatorzy prowadzą swe rozmowy, ale tym razem na falach ultrakrótkich, dotąd nie przy-

datnych dla komunikacji dalekosiężnej, ale i tu zaczyna powtarzać się historia fal krótkich. „Murzyn już zrobił swoje. Murzyn może odejść” Amatorzy znowu są spychani na wąskie odcinki pasm ultrakrótkich.

JAK POZNAJĄ SIĘ KRÓTKOFALOWCY WSRÓD WIELU STACJI CZYNNYCH W ETERZE? O TYM I INNYCH SPRAWACH KRÓTKOFALARSTWA ZA TYDZIEŃ.



LEOPOLD BECK

Monumentalne dzieło

bo
w pięciu
tomach
o
łódzkiej
„Maskotce”



Wanda Bojarska w roli Maskotki Bettiny
fot. G. Puciato

Tom I, który dowodzi, że bez historii ani rusz.

Nie sposób poznać sztuki bez wglębania się w jej historię. Życie rozwija się tu, rzekłbyś, na podstawie i w przeciwieństwie do eksponatów muzealnych.

Nie inaczej dzieje się w operetce. Choć wziętą z młoda, ma ona swoją wielką historię a w niej i klasyczną epokę. Edmund Audran nie osiągnął wielkości klasyków, ale — bądź co bądź, tworzył w klasycznej opoce, Offenbachowsko — straussowskiej. — Koniec pierwszego tomu.

Tom II, w którym się udowadnia czarno na białym, że operetka łódzka miała świętą rację.

Nawet gdyby dyrektor, Bóg wie, jak się modlił, repertuar nie spadnie mu z nieba. W ostatnich 15 latach nie zanotowano jeszcze takiego wypadku, a o poprzednich dwustu latach nie posiadam danych. Pewnikiem raczej jest, że szukać repertuaru trzeba. A to niełatwa sprawa, gdyż szczerze mówiąc w kraju znaleźć można „Tajemnicę Dedala”, lub „Tylko dla kobiet”.

Importować więc trzeba, ot co! — za dewizy. A skąd je biedna operetka weźmie? Nawet ukraść nie sposób. Ale można i za darmość — o ile autorzy padli trupem jakiegoś tam ... dziesiąt lat temu. Tylko ostrożnie, bo zdarza się i przywóz zagranicznych trupów.

Nie, to nie aluzja, bo „Maskotka” jeszcze jest żywa.

Wiele operetka łódzka miała wielki, ale starannie pieświątą rację grając „Maskotkę”. — Koniec tomu drugiego.

Tom III, który prawie obala tezę tomu drugiego.

„Maskotka” choć żywa i dzielica, jak wynika z tekstu, ma swoje osiemdziesiąt lat. Staruszkę poddać no więc kuracji odmładzającej którą przeprowadził: Bohdan Wodiczko (instrumentacja i opracowanie muzyczne), Zdzisław Skowronski i Jerzy Walden (jako autorzy wolnego przekładu).

Patrzcie no, policzki! Wcale ładnie się zarumieniły. Zaprzążamy, mademoiselle, do tańca, dyryguje Kazimierz Skinder. Muzyczka łatwa — szczególnie dla Polaków. Znajdujemy gdzieś indziej folklor prawie polski szukajcie go między walczykiem i echemi starofrancuszczyzny. Polskie jest też to, co skacze. — Koniec tomu trzeciego.

Tom IV, grzmiący wielkim głosem, przeciwko zaniechaniu głosów.

Mademoiselle, zaproszona do tańca w charakterze dziewczęcia francuskiego, zachowuje się tak jak Kryśka Leśniczanka, a śpiewa jak Wanda Bojarska dziś. Nie tylko primadonna, ale i męscy soliści (doskonali aktorzy Jerzy Sidorowicz i Janusz Duński, nie zapominać o Janie Padkow- skim) zapomnieli, że w operetce dochodzi się do głosu również za pomocą głosu. Nie musi to być głos



May, Baxter i... Makarenko

(Dalszy ciąg ze str. 1)

banku skarżyła się, że konto przetruciono do innego oddziału, bank lekceważył, bo spółdzielnia nowa, że się wyjaśni za trzy dni, trzeba być tylko odrobinę cierpliwym.

Patrzyłem ciekawie. W sąsiedniej salce za przepięrzeniem z piśniowych płyt pracowali chłopcy przy cementowaniu maszyn stolarskich. Wtedy produkcja ruszy na całego. Mogła ruszyć grubo wcześniej, gdyby nie piasek. Szukali, nikt nie chciał sprzedać. Maszyny stały. Ale teraz piasek już zdobyli.

Po drugiej stronie klatki schodowej chłopcy uprzątałi gruz w pomieszczeniach dawnego magazynu damskiej konfekcji. Wchodzili na chwilę do kantoru, ci od gruzu i od cementowania maszyn, grzali ręce, puszczali radio, duże, przykurzone pudło odbiornika „Tatry”. Patrzyli z zacięciem w teni tamtych przy biurku, którzy napastowali księgowego. Sami czekali na forę, ale wiedzieli, że to mus czekać, że nie przepadnie.

Byłem znużony dym, ludzie, radio na cały regulat. Wtedy przyszedł Lenkiewicz. Antoni bo jest i brat. Chodziliśmy długo, we władztwie EWEKSU pokazał wszystko, bo zna. Przecież, student czwartego roku prawa. „Pan też z prawa, to się dogadamy”. Usypiska gruzu, zniszczone piętra, zawalony dach. Panorama Wrocławia z tego dachu. W ołbrzymich, zrujnowanych salach magazynu z damską konfekcją, udeiliła mi się atmosfera ich eksperymentu.

2.

Czy znam reportaż Mularczyka „Wielkie Słońce boi się swego cienia”? Konieczność do niego zajrzeć bo, to o nich. Kiedys. Był rok pięćdziesiąty, mieli po piętnaście lat. Tyle co teraz ich chłopcy, a nawet nie, jest dużo rocznika 40. Uciekali przed schematem, opętano uciekali przed schematem. „Pan który rocznik, też czterdzieści, pięć lat różnica. Mało? Między nami jest różnica całego pokolenia, jednego pokolenia”.

Mieli swoją wyspę na jeziorach mazurskich, to był zupełnie inny świat. Tkwiłi w przygodzie: Baxter, May, Wand, Curwood. Potem musieli wracać do szkoły. IX klasa. Tam się gubili. Mieli ich usunąć ze szkoły, całą piątkę: Apostola (Lenkiewicz), Delfina, Homera, (Gustaw), Faka, Wielkie Słońce. Apostola i Wielkie Słońce przenieśli do innego miasta, to nie było daleko. Wtedy zjawił się Pik w okularach, sygnet na palcu, starszy, odporny. Pił wino, potem przysięgali na krzyż. Wolnomyśliciele. Szukali absolutnych wartości, szukali autorytetu. Pik włamał się do ich wiary. Kazał robić „konspirację”. Na początek zabrali ze szkoły maszynę do pisania. I to był koniec, koniec konspiracji, autorytetu Pika i całej krainy pozoru. Pierwszy poszedł za kraty Pik.

W pięćdziesiątym trzecim stanęli przed sądem: Apostol Delfin, Homer, Wielkie Słońce.

Dostali po dziesięć lat. Praca w więzieniu, w kopalni, amnestia. Siedzieli po trzy-

dzieści miesięcy. Homer — nie pracował — dłużej.

Byli na wolności, wtedy szedł za nimi cień. Próbowali się dostać na studia, próbowali dostać jakąkolwiek pracę. Zdecydowali się napisać do redakcji: „Przez pewien czas wierzyłem mocno w możliwość przebaczenia, możliwość mojej winy. Dziś jakże mi ciężko na duszy! Chcę być uczciwym człowiekiem. Po raz pierwszy w życiu błagam: ludzie pomóżcie!”.

Potem pięćdziesiąty szósty rok, poczułi że żyją, cień się rozmywał. Apostol dostał się na prawo. Homer na filozofię.

3.

Spotkali się wieczorem w piwnicach winiarni naprzeciw Ratusza, mówili natychmiast, gorączkowo nim znużony pikolak postawił przed nami dwa wina. Kłótry zaczął. Kinstler? Nie zauważyłem przy kieliszku.

— Chcemy, żeby pan nas zrozumiał, żeby pan zrozumiał nasze szamotanie.

Starsi ode mnie o pięć lat, o swoje pozorne dzieciństwo: Lenkiewicz, jego brat Tadeusz, Gustaw (prosił o zachowanie incognito), Kinstler, Strzelecki, Radtke, Zadolny.

Kiedy o tym zaczęli myśleć? Antoni jeszcze w więzieniu uczył młodocianych, siedzieli dużo analfabeków. Potem na prawie założyli Akademicką Drużynę Harcerską. Wyśmiewano się z nich: stare konie chcą założyć krótkie spodenki.

Fak, Delfin, Wielkie Słońce gdzieś zniknęli. Pozostał z dawniej paczki Lenkiewicz i Gustaw, spotkali się we Wrocławiu.

Był rok pięćdziesiąty siódmy, mieli po dwadzieścia dwa, trzy lata, studiowali przeważnie prawo. Pomysł przyszedł nagle — zostali kuratorami sądowymi. Działali wspólnie w siedmiu czy ośmiu chodzili do mieszkań swoich podopiecznych, tracili czas na przejazdy z jednego końca miasta na drugi, z Krzyków na Sępólnie, ze śródmieścia na Zacisze.

Wiedzieli, że chłopcy im się wymykają, nie mieli nad nimi kontroli. Nie mogli się z tym pogodzić. Chcieli wyrwać ich przeczuciu, które popycha do przestępstwa. Chcieli dać szansę chłopcom karany przez Sąd dla Nieletnich. Chcieli zetrzeć z chłopców piętno, z manekinów gnanych przez warunki do katastrofy, uczynić żywych ludzi wyprowadzić ich z bunkrów, piwnic i ruin na świat, odczyć bania się własnego cienia. Zrobili drużynę harcerską wyszli z harcerstwem na ulicę.

Czy nie tak? Zapragnęli ich ustrzec przed własnymi doświadczeniami, przed pozornym dzieciństwem, wrócić do życia, z którego się wycobowali.

Lenkiewicz znowu Apostolem, Gustaw Homerem, starsi o dziesięć lat, Lenkiewicz z bródką, Gustaw jak wtedy. Tylko sceneria inna, mniej oszukawcza. Był May, Baxter, Curwood. Teraz jest Makarenko. Była kraina zdarzeń pozornych — Indianie kowboje. A teraz? Żadnego podrabiania. Rzeczywistość. Autentyzm.

W maju pięćdziesiątego ósmego zrobili pierwszą zbiórke. Bali się chłopców z poprawczaka. Nie znali ich. Rozumieli ryzyko eksperymentu. Jeśli odniosą sukces, będzie on własnością społeczną. Ale klasa jest zawsze indywidualna. W hufcu ostrzegano: — Robicie bandę uliczników, która zagraża spokojowi. Chcecie ich uczyć dżudo, wzmacniać mięśnie bandytów?

Chłopcy przysli dogadali się natychmiast, nikogo nie trzeba było ośmielać. Znali się z „robótka” ze schronisk, z poprawczaków. Siedzieli ostrożni, wartościowali studentów jak towar w komisie. Zrozumieli jedno — goście chcą im pomóc. Widzieli — w nich nie przypominali tych społeczników z za biurka.

Nie chcieli od studentów na kredyt. Potrzeba było na wszystko pieniędzy tamci ich nie mieli, brali tylko stypendium.

— „A ile trzeba? — pyta jeden z podopiecznych. — To my skombinujemy.

— Jak skombinujemy?

— No tak, zwyczajnie... — jaka się lekko inicjator kombinowania.

— Co ty frajer? — zakrzykują go inni. — W harcerstwie nie można. Nie da rady”.

Ale drużyna powstała, pieniądze się jakoś znalazły, pojechali w trzydziestu pięć osób na obóz do Melszyna. W pojeździe potłukli dwie szyby, obrazili kilku pasażerów, kłócili się między sobą przez całą drogę o miejsce. Nie stanowili grupy, wyglądało, że się na chwilę zeszli porozbierać trochę dla zabawy. Byli chłopakami z ulicy przebranymi dla jakiejś hecy w harcerskie mundury, wylażila niedobra indywidualność. Nie potrafili zrozumieć, że wyszli z piwnic. Chudy siedział przy oknie, rozpamiętywał chwilę kradzieży ławki z jakiegoś ogrodu i dwu kilogramów fasoli. Jego sąsiad wyszedł na chwilę na korytarz, ostrożnie zamykał drzwi jak wtedy, kiedy z szopy znajomego zabrał rower i cztery jabłka.

Leżeli na półce, to schował tylko do kieszeni.

W górach akurat była powódź, ale jakoś dotarli do miejsca obozowiska. Namoty rozbijali przez cztery dni, nikt nie chciał pracować, czekali tylko, kiedy przyjedzie samochód z prowiantem — część nosili do kuchni część do własnych skrytek. Silniejsi prześladowali słabszych, zmuszali ich do pracy w tajemnicy przed studentami.

Wtedy akurat rozpadali się deszcze, niektórzy chcieli wracać. Szykowali bunt. Jeden z najsilniejszych wyniósł przed namiot własny

siennik i podpalił, niby sygnal do buntu. Jak tamten browar na Solcu. Ale innych to tylko rozśmieszyło. Nie wiedzieli jeszcze, że dokonała się w nich utajona zmiana. To było śmieszne jak taki silny chłopak latał naokoło ognia, wytatuowany (jeszcze z poprawczaka), i dął się po szczeniaku, a wieczorem prosił o nocleg — nie miał na czym spać.

Pogoda zażegnała bunt, ale zaczęły się kradzieże. Gineły portmonetki, nożyki, paski. Chłopcu który miał zapłacić za pieczywo, skradziono 650 zł. Poszukiwania nie daly rezultatu, instruktor dostał nagane za wyręczanie się chłopcami, miał pokryć stratę. Wtedy jeden z chłopców przyniósł pieniądze, prosił o przebaczenie. Przebaczyli i wtedy złapano dwóch nowych.

Chłopcy domagali się sądu, sądu inkwizycyjnego. Ta gromada przebrana w harcerskie mundury w ciągu kilkunastu dni przeszła przez historyczne formy rozwojowe społeczeństwa: od stada ludzi pierwotnych do epoki feudalnej. Sądzeni prosił o jedną łaskę — chcieli pozostać w grupie. To był typowy sąd wiecowy — sadzili wszyscy, jeden kierował. Przegłosowali wyrok: „Każdy da im jednego pasa na góły tyłek”. Nie dali dojść do głosu studentom którzy z trudem wywalczyli nadzwyczajne złagodzenie kary.

Nie mogli tylko wyeliminować prawa pięści, silniejsi terroryzowali słabszych, słabsi bali się piskarzy. „Okolo godzinę piętej rano jednego z instruktorów obudzili krzyki i przekleństwa Bogdana. Kilkakrotnie powtarzało się: „No wstaniesz czy nie wstaniesz”. Bogdan krzycząc wściekle bił i kopał w twarz na wpół leżącego i zaspanego Romka który na próżno usiłował wstać. Instruktor podbiegł, chwycił Bogdana i całą siłą odepchnął od swojej ofiary... A bo co ten ciul se myśli, nie chciał wstać na wartę, to go kopnąłem”. Instruktor nie wytrzymał i bokserem sierpem powalił Bogdana do swych nóg. „Ja również mógłbym cię kopnąć rozumiesz?”. Bogdan zerwał się gotów do rozpoczęcia bójki. Drugi ciós złożył go na ziemię. Tym razem wstawał powoli. Był odmieciony. Instruktor przerażony przez chwilę tym, co zrobił, poczuł, że zapanował nad chłopcem — zaimponował mu. Przewagę tę musiał wykorzystywać. „Nie przepraszaj. Masz natychmiast napisać na mnie skargę do sądu za stosowanie niedozwolonej metody bicia”. „Ja nie będę pisał, przecież to moja wina” — powiedział Bogdan.

„Ja się nie pytam czy ty chcesz. Ja ci rozkazuję. Pisz tak: Donoszę, że w dniu 14 zostałem uderzony... Albo daj — ja sam napiszę. (Po napisaniu). Masz, przeczytaj i podpisz”.

„Ja tego nie podpiszę”.

Wszyscy zaczęli rozumieć — w ich życiu coś się przestawilo. Wiazało się to nieodparcie z porównaniem do pociągu — byli ludźmi skierowanymi na bocznicę, nie myśleli przestawiać zwrotnicy. Ale zwrotnice ktoś przesunął. Zdarzało się — bezmyślnie wyladowali akumulatory samochodu wyjeżdżającego po prowiant, szofer przeklinał i złyzył. Potrafili w biały dzień buchnąć flagę harcerzom z sąsiedniego obozu. Ale to było godne szczeniaków, zrozumieli, zrozumieli przy pożarze, kiedy z narażeniem życia rzucali się w ogień.

5.

Szkoła EWEKSU powstała niedawno na Krzykach, ul. Akacji-wa. Jakiś porucznik milicji pokazał mi drogę. „Czerwony dom, tam jest poza tym zakład wychowawczy”. Szarzało, kiedy szedłem po chodniku wewnątrz ogrodzenia. Przy wejściu jakiś chłopak palił papierosa czekał na koleje. „A ty tutaj nie chodzisz?”. „Może się zdecydować dwa lata temu chodząc do siódmej, ale się zapomniało. W Keyni chodząc, w poprawczaku. A pan jestes z Łodzi. Faceci z Łodzi cholernie śpią, dawaliśmy im kocowity”.

Siedzieli w ostatniej ławce chłopcy było tylko kilku, blisko połowa poszła na mecz bokserki. Mieli lekeję wychowawczą, prowadził Lenkiewicz, Antoni. Z wypowiedzi chłopców, zgrywanych, z przymroczeniem oka, sklejałem historię eksperymentu.

Łato się skończyło wrócić do Wrocławia. Spotykali się nadal, przyprowadzali nowych, drużyna się rozrastała. Nie mieli lokalu, nie było gdzie prowadzić zajęć, robiło się zimno.

W grudniu zrobili zimowisko, pojechali do Sobieszowa. Dokonały się w nich następne zmiany, byli ludźmi w pełni cywilizowanymi mieli wyrobiony pogląd na wiele spraw. Jesienią budowali ogrodzenie w domu starców, pracowali przy zrywaniu jabłek. Przystąpili już progi teatrów i muzeów, spotykali się z literatami. I wtedy zobaczyli: cień szedł za nimi, szedł jak kiedyś za Fakiem, Delfinem, Homerem, Wielkim Słońcem i Apostolem. Czy mieli pisać do redakcji blagać, ludzie pomóżcie? Byli zbyt dumni, byli członkami EWEKSU.

Dostrzegli to na zimowisku. Byli dorastającymi chłopcami, rocznik 40, 41, 42, chcieli jak dorastający chłopcy tańczyć na Sylwestra z dziewczętami, zapomnieli o swoim dawnym życiu. „Kierownictwo miej-

scowych szkół nie zgodziło się na wynajęcie sali podając między innymi jako przyczynę to, że podłoga jest wyfroterowana. Kierownictwo kolonii poznańskiej zgodziło się na wspólne zorganizowanie wieczorka sylwestrowego, ale szybko się z tej propozycji wycofało. Ostatnią szansą była kolonia dziewcząt w Podgórzu, która dość niespodziewanie zaprosiła nas na zabawę sylwestrową”. Nagle zjawiła się kierowniczka, przeprosiła że z przyczyn niezależnych zabawy nie będzie. Dodała: „Rozumiecie, z taką młodzieżą nie możemy”.

Chłopcy wiedzieli — są sami. Ale oni nie błagali.

Łatem pięćdziesiątego dziewiątego pojechali w Bieszczady jechali małymi grupami autostopem, spotykali się w umówionych miejscowościach. Od Leska nieśli w dwóch słoiach farbę, szukali miejsca w którym założą w przyszłości własną kolonię. Osiedli się tam, założą gospodarstwo rolne. Wybrali dolinę koło wsi Rajskie nad Sanem. Zostawili słoi pod drzewem, poszli wyciągać kamienie z Sanu, chcieli wypisać farbą ślad swojej bytności, wmurować kamień węgielny pod przyszłą osadę. Kamienie były duże, pomęczyli się.

6.

Z Lenkiewiczem zsiłszy przez Wrocław zburzony w czasie wojny niemal doszczętnie, ocalała jedna piąta domów. Nie śpieszyło nam się, gapiliśmy się na budowy, na tramwaje, na auta. Pytałem o spółdzielnię, o chłopców.

Chłopcy chodzili, zbierali datki na spółdzielnię, wyszukali w gruzach lokal. Nadawali się. Wtedy jakiś tępy urzędnik powiedział: „Wy tego nie dostaniecie”. Zнали takich, wiedzieli, że są niebezpieczni, ale nie chcieli rezygnować. Wygrali lokal. Tow. Stypulkowska z Mln. Sprawiedliwości dała sto tysięcy na zagospodarowanie.

Piętzyty się trudności, nie rezygnowali. Nie rezygnują do końca.

Widziałem ich dumę — oni nie powiedzą: — Ludzie, błagamy pomóżcie. Oni potrafią wartościować i oni pamiętają.

Wiedzieli, że o nich pisać tylko źle, o chłopakach z mego rocznika o ich zmaganiach?

KONRAD FREJDLICH

1) Andrzej Mularczyk „Gwiazdy w Kałużach” Iskry 1957.

2) Może ktoś wydawnictwo zainteresuje się pamiętnikiem, z którego pochodzą cytaty?



Fot. Lenkiewicz

OPRACOWAŁA
TERESA ZWIERZCHOWSKA

ZIMNA



Z pamiętnika wiejskiej położnej

„Jestem dziś zmęczona, zgorzkniała. Opadły mnie czarne myśli i nawet nie usiłuję się przed nimi bronić. A rozkleił mnie drobny i w zasadzie niewiele znaczący fakt: nikt nie powiedział mi „dziękuję”. Ludzie uważają, że skoro mi płacą — jestem aż nadto wynagrodzona.

No cóż, człowiek jest tylko człowiekiem i skoro dobrowolnie zakopał się w tak malusieńkiej osadzie, chciałby mieć tę przynajmniej sa-

tysfakcję, że inni to docenili. Trudno się wyzbyć tej odrobiny próżności. Bo niby głupstwo, a boli. W takich chwilach człowiek staje się sentymentalny, chciałby się trochę porozkłakiwać nad sobą, a tu nie można, bo służba nie drużba.

Nie spałam dwa dni i dwie noce, niemalże przez cały ten czas wisiłam przy słuchawce telefonu.

Przywieźli mi położnicę. Przywieźli męża — zwykłą,

chłopską furką. Musiała się biedaczka porządnie wytrząść po „kociach lbach” naszego miasteczka. Była chora. Z latwością stwierdziłam zatrucie ciążowe, ostatnie stadium. Ci ludzie zwykle decydują się na ostatni dzwonek. Chora puchła, oddychała z trudem. Zdażyliśmy ją rozobrać i położyć, gdy dostała silnego ataku drgawek. To już agonia. Gdy atak powtórzy się trzykrotnie, sprawa będzie beznadziejna...

Nie jestem lekarzem specjalistą. W podobnych wypadkach odsyłam chorą do szpitala powiatowego. Tym razem sama musiałam podjąć ciężar odpowiedzialności za jej życie. Na dworze zadyńka, drogi zasypane. Nie ma mowy, aby karetka

przebiła się do nas w taką pogodę. Mimo to dzwonię do szpitala. Decydują się wysłać karetkę. A nuż się uda?

Czekam w dyżurce modląc się w duchu, by tylko atak nie powtórzył się. Na szczęście chora ma odporny organizm. W tej chwili nie jednak nie wie o bożym świecie. Minuty wydłużają się w nieskończoność, zegar tyka młarowo. Za oknem jakby na złość wiatr wzmaga się z każdą chwilą. Mija godzina. Dzwonię ponownie. Niestety nasze przewidywania sprawdziły się, karetka wróciła po nieudanej próbie wydestania się z miasta. Za kopali się już za rogatkami. Co robić?

— „Słuchać” — mówi lakonicznie lekarz. Słucham więc choć poprzez szum i trzaski głos doktora jest ledwo uchwytny. Dyktuje zalecenia.

Odkładam słuchawkę by zrobić zastrzyk i znów informuję o stanie chorej. Umawiamy się, że będę dzwonić co pół godziny i częściej jeśli zajdzie potrzeba. W międzyczasie chcę załatwić jakieś środki transportowe. Dzwonię na lotnisko wojskowe. Niestety, w taką pogodę helikopter nie może startować. Radzą mi dzwonić wprost do Warszawy. Dzwonię. To już ostatnia szansa. Jakże długo łączą! Boże, cóż to za strasna dziura! Wreszcie jest połączenie. Poprzez szum aparatu dogaduję się z trudem. Na szczęście samolot mam przyrządzony. Trzeba tylko przygotować teren, gdzie mógłby lądować.

Przewodniczący miejskiej spółdzielni produkcyjnej zobowiązuje się rozpaść ogniiska i podtrzymać płomień tak długo, jak to będzie konieczne. Widzę te migające płomyki tu, z okna dyżurki. Niełatwo mają zadanie. Teraz cała zamieniam się w słuch. Za drzwiami chora postępuje coraz boleśniej. Zbliża się drugi atak. Co robić?

Spokojny głos doktora działa kojąco. Pakuję nową porcję zastrzyków. Chora uspokaja się. Oczy ma błędne, nierozumiejące. Nie odzyskuje przytomności. Nie pamięta nawet jak wnosiliśmy ją do samolotu. A była to jej pierwsza powietrzna podróż w życiu. Na szczęście i nieostatnia. Teraz jest już zdrowa, podobno mąż zabrał ją ze szpitala. Mówiono mi o tym w miasteczku. Czekalam, myślałam, że przyjdzie, podziękuję. Nie przyszła. No cóż, powinienam się do tego przyzwyczaić, a ja się rozklejam jak sentymentalny podłotek. A jednak tak trudno się pogodzić. Wystarczyłoby jedno „dziękuję” i człowiek zaraz by się poczuł rażniej. Potrzeba mi ludzkiej wdzięczności. To podtrzymuje na duchu, nadaje

sens temu co robię. Jestem tu przecież sama jak palec.

* * *

„Piętnaście lat mija od chwili, gdy przyjechałam w te strony, jak ta chora, chłopska furka, z jedną walizką. To był cały mój majątek ocalały z wojny. Podobno mi się tu, na przekór opinii, które krążyły wokół osady P. Dziura — bo dziura. W swojej praktyce widziałam gorsze. A ta leży malowniczo na górze i jak wyspa góruje nad równiną. Chałupki sterane wiekiem, koślawe — to fakt, ale przy odrobinie dobrej woli można doszukać się w nich uroku. Osobiście lubię małe osady jeśli nie mają one wielkomiejskich pretensji. Zresztą przyzwyczaiłam się do koślawych drewniaków pokrytych zielonkawą pleśnią. „Ko cich lbów”, karezm trzeciej kategorii i straganów na rynku, do zgłębku dni targowych. I choć życzę osadzie jak najlepiej, żal mi byłoby gdyby zmieniono tu cokolwiek. Całe szczęście — nowe bloki ustawiono na uboczu, pozostawiając rynek niezniknięty. Takie jest to miasteczko, w którym żyję od lat piętnastu.

Gdy spojrzę wstecz myślę sobie — ileż się zmieniło mimo pozornego bezruchu, mimo, że dni wydają się tu podobne do siebie jak krople wody. I nie bez dumy mogę stwierdzić, że moja obecność wprowa-

powstrzymać by nie zaczęła. Gdyby się na przykład krowa cielila żaden chłop nie zachowywałby się tak spłosznie. Wiadomo, żona rzecz nabyta. Można sobie zamienić na młodszą i zyskać jeszcze kilka morgów. Oto kategorie, którymi rozumują ci ludzie. Co innego krowa! Cielna krowa to czysty zysk.

Wielu gospodarzy prowadzi nawet kalondarzyki, wiedzą, kiedy krowa była zaciolona i kiedy nastąpi rozwiązanie. Kobiety nie pamiętają nawet kiedy miały ostatnią miesiaczkę. — „Kole żniw” — mówiła mi taka i bądź tu człowieku mądry. Teraz przynajmniej już wiedzą.

„Paniećtam, stoi chałupka, strzechą prawie ziemi sięga. W izbie brud i ubóstwo. Na łóżku wśród bełtów leży kobieta, białka oczu wywrócone z bólu. W kącie kucnęło jakieś tegie babsko i klepie modły...” Początkowo nie zorientowałam się kto zacyt. Idę do położnicy, badam. Poród się zaczął — niestety jednak nie mogę się zorientować co jest. Jedna krowa wa masa. Po chwili dopiero rozpoznałam płód. Główna zmasakrowana. Był to poród twarzyczkowy i „babka” nie wiedziała o co chodzi. Chciała pomóc położnicy i oto skutki. Wtedy usłyszałam z kąta głos pełen fałszywego ubolewania — „dopust boży”.

WOJNA

dziła również trochę zdrowego zamieszania.

Przed wszystkim napsulałam porządnie krwi „babkom”. Były ich tu całe zastępy. Przynajmniej dla jednej, dwu kobiet w każdej wsi odbieranie porodu stanowiło jedyne źródło utrzymania. Początkowo więc nie miałam pacjentek i tylko z okna swego prowizorycznego gabinetu widziałam przebiegające konduktu żałobne. Rozmiary trumienek mówiły smutną prawdę — noworodki. A jednak jestem im niezbędna — pomyślałam.

Pamiętam pierwszą wizytę. Pewnego dnia zgłosił się chłop. Podjechał furką i trzymając czapkę w ręku prosił pokornie, abym zechciała z nim pojechać — „bo coś le nie tak”.

Wioska oddalona była około 7 km od miasteczka. Denierowalłam się bardzo podczas gdy chłop trwał w stoickim spokoju. Zdrzemnął się nawet na worku, a koń sam biegł truchtem do domu. Do dziś ta chłopska flegma i spokój w wypadku gdy chodzi o własną żonę, wyprowadza mnie z równowagi. Nie mogę się

— Ach ty, bezczelny babsztylu — trzęsąc się ze złości podeszłam do babki. Jeszcze ręk nie zdążyła umyć i już składa się po bożnie. — Wynos się stąd! Złapałam babę za ramię i wypchnęłam z izby, a chłopu kazałam zaprzęgać i wieźć żonę do miasteczka.

W każdej chwili groziło zakażenie. Dziecko urodziło się nieżywe.

Ten mój gest, zdecydowany i beceremonialny zrobił we wsi duże wrażenie. Spodobałam im się. Doszły mnie takie wieści. Tak się zaczęła moja walka z „babkami”. A była to istna „zimna wojna”. Szczególnie, gdy otworzyłam Izbę Porodową w pałacyku — dawniej posiadłości ziemiańskiej — temperatura walki podniosła się wyraźnie.

W Izbie cennik jest śmiesznie niski. Najwyższa stawka dzienna nie przekracza czterdziestu złotych. To się chłopu opłaci nawet bardziej niżby płacił w naturze. A w Izbie nie trzeba się krepować. To instytucja państwowa, żadne więc podarki, daniny, w dowód wdzięczności, nie o-

ŁODZIANIE I ŁODZIANA • ŁODZIANIE I ŁODZIANA • ŁODZIANIE I ŁODZIANA

JANUSZ DUNIN

Dziś, żeby kogoś poznać nie trzeba jeść z nim przysłówowej beczki soli. W celu poznania bliżnich i siebie samego służą nam mnożące się testy-zabawy psychologiczne, które z ulubionych kolorów, kształtów, poglądów na Bardotkę itp. nieomylnie wyrokują o charakterze człowieka. Pozwólcie mi czytelnicy przedstawić i mój test. Potrafi on co prawda wykryć tylko jedną cechę charakteru, ale za to czyni to bez pudła.

Wystarczy posłuchać uważnie historyjki przypomi-

nającej najkrótsze nowelki z „Przekroju”. Znałam ją w książce „Ramołki i anegdoki”, która sto lat temu w r. 1859 ukazała się w Warszawie. Autorem jej jest grafomani i wesołek Rozmiar Soter Rozbiński, który piosenkami, bajkami i wierszami przez wiele lat zabawiał publiczność Warszawki. Znała go nie tylko stolica, opuszczał on bowiem często swą kawiarnię, by z gitarą i własnymi książeczkami odwiedzić jarmark w Lublinie, Sieradzu, Łowiczu, a może nawet i Łodzi.

A oto nasz test: „W matym miasteczku na Podlasiu stał pan burmistrz z pisarzem i policjantem przed ratuszem. Wtem przychodzi podróżny rzemieślnik pokazując paszport. Pan burmistrz nie oglądając go pyta:

— A skąd ty jesteś?

On: — Ja jestem z Łodzi.

P. B.: — Panie pisarzu, aresztować sam się przyznał, że jest łodziem.

On: — Ale, panie przyzwoćcie...!

czytał z paszportu, że jest w guberni Warszawskiej miasto Łódź i on stamtąd pochodzi, wytłumaczył panu burmistrzowi omyłkę, a podróżny rzemieślnik swobodnie dalej wędrował”.

Felieton z okazji stulecia najlepszego kawału o Łodzi

P. B.: — Nie ma ale, policjant, zaprowadź go do kozy.

I policjant, chłop jak dąb, wziął go za koltierz i zamknął w areszcie.

Dopiero po kilku godzinach, gdy się pan pisarz do-

U tych wytrwałych czytelników którzy przebrnęli do końca, tekst mógł wywołać dwie różne reakcje: a) Przecież to piramidalna bzdura, której już nawet dzieci pod Kuluszkami nie powtarzają.

b) Ciekawe, że ta bzdura ma już sto lat. To przecież jubileusz! Nie wiedziałem, że ta znana mi anegdota jest jednym z pierwszych drukowanych utworów o naszym mieście. Interesujące, że dowcip ten oddziaływał na życie — bo zapewne z jego to powodu utrzymała się na lata u poważnych „łodzian” ostrożna forma „Jestem z miasta Łodzi”.

Jeśli myśli twoje, czytelniku, wyraziłem w punkcie oznaczonym literą a) to żegnaj, bo nie dla ciebie jest ten felieton przeznaczony.

Natomiast jeśli myśli twoje były podobne do wymienionych przykładowo w punkcie b) to znaczy, że kryją się w tobie zadatki na zbieracza ciekawostek i

pamiętek, masz zrozumienie dla historycznej rupieciarni, podoba ci się tuwimowski „cicer cum caule”, zbierałeś kiedyś pamiętki z wakacji, stare pieniądze lub numery nieaktualnych czasopism.

Zbieracz są różni: kolekcjonują znaczki, nalepki, pamiętki, porcelanę, motyle i książki.

Dziś chcę powiedzieć parę słów o mało znanym rodzaju kolekcjonerów, o zbieraczach „łodzianów”.

„Łodziana”, tak jak „silesiaka” i „varsavian”, są to przedmioty związane z danym terenem. Pamiętkowe medale, mapy, fotografie, żetony, a przede wszystkim wszelkie druki, książki, czasopisma, programy, zaproszenia, afisze związane z pewną miejscowością lub okresem.

bowiażują. Co innego „babki”. Te umiały się przy-
mawiać, a gdy nie dostały
mogły wykrzyżeć niejedną
tajemnicę albowy.

Konkurencja była jednak
groźna. Zaczęły się więc sze-
rzyć plotki, że dają nowo-
rodkiem jakieś zastrzyki, po
których chorują, a nawet
umierają, że kąpią je w
korycie, że dzieci zamie-
niają i nigdy nie ma pew-
ności czy zabiera się rze-
czywiście własne dziecko.
I jeszcze inne bzdury. Tak
się jednak składa, że poród
nie zawsze następuje zgo-
dnie z prawem natury. By-
wają komplikacje i te wła-
śnie chore odwożono do Iz-
by. A gdy kobiety przeko-
nały się, że całe to bajdu-
rzenie „babek” jest nie-
prawdą, same z własnej
inicjatywy zorganizowały
kontrpropagandę. Nie bra-
łam w tym udziału, wie-
dząc że najlepszym argu-
mentem jest dobrze spe-
łniony obowiązek, a nawet
ciepłe słowo. Jeśli zyskam
zaufanie położnic, rozgłoszą
chwale Izby lepiej niżby
to potrafiła uczynić cała
armia agitatorów. Walke
więc wygrałam. „Babki”
zeszły do podziemia i jeśli
grasują dzieje to się w tak
ścisłej tajemnicy, że sam
diabeł nie doszedłby praw-
dy.

Jeszcze i dziś zdarzają
się wypadki, że kobieta
bojąc się rozgłosu prosi ta-
ką utajoną „babkę” by ta
ją „zepsuła”. Naturalnie
pacjentka musi dać gwa-
rancję, że w razie czego
będzie milczała jak grób.
Przywieziono mi taką co się
„psuła”. Twierdzi, że to po-
ronienie samoistne. Wiem,
że to nieprawda, bo dzie-
wczyna ma zakażenie, a
przy samoistnym to się nie
zdarza. Nie nalegam jed-
nak, gdyż wiem, że się nie
zdradzi nawet za cenę ży-
cia. Niestety, wobec tych,
na szczęście sporadycznych
występów „babek”, jestem
bezsilna. Przy panującej o-
byczajowości, wobec prze-
konań, które podtrzymuje
kościół — tego rodzaju
wypadki będą się zdarzały.
Jak długo jeszcze — trudno
przewidzieć. To kwestia
wzrostu poziomu kultural-
nego.

„Już teraz obserwuję, że
kobiety nauczyły się swo-
istego makławelizmu. Przy-
chodzi do mnie pewna ko-
bieta i prosi o rozmowę
„na osobności”. Zamykam
więc drzwi, a ona w bek i
mówi, że znów zaszła w
ciążę, a Bogu dziękować
będzie to dziesiąte dziecko
z rzędu. Wypominam jej,
że nie słuchała moich
wskazań. Przecież każda
położnica obowiązково
wysłuchuje wykładu o

świadomym macierzyń-
stwie, a ona sama słuchała
tychże wykładów dziewię-
ciokrotnie i masz babo
placek: — co rok — pro-
rok.

— Przecież nie chcę —
jak Bożę kocham nie chcę
— zaklina się kobiecina, ale
powiada tak: „Jeśli chcia-
łabym stósować to wszyst-
ko co mi mówiliście nie
ino musiałabym do powia-
tu jeździć, bo to trzeba co
dziesięć dni zmieniać. A
kiedy mam to robić, jak
w domu taka „gromada”.

— To mąż niech się pil-
nuje — odpowiadam. Ale
i na to ma gotowa replika:
„A gdzieżby on ta w skle-
pie w samym środku mia-
sta kupował toto. Wszyscy
go tu znają, nawet sklepo-
wa. Pierwej by sobie je-
zyk dał uciąć. Przez gardło
mu to nie przejdzie. A
zresztą czy go to co ob-
chodzi?”

„Odwiedziła mnie pewna

kobiecina. Chce się „psuć”
(to termin powszechnie pa-
nujący w tym środowisku).

Uważam, że w tym wy-
padku (kobiecina ma już
8 dzieci) usunięcie płodu
jest celowe.

Kobieta uśmiecha się.
Jest zadowolona, że pomo-
gę jej dostać się do szpitala
na zabieg. Czuje się jednak
w obowiązku wytłumaczyć
mi że ma skrupuły, owszem
bo to grzech śmiertelny, i
ksiądz może nie dać roz-
grzeszenia, naturalnie je-
śli się dowie... Rozumiem,
chodzi jej o dyskrecję. Boi
się, ale nie tylko ognia
piekielnego. Opatrzność

można przekupić dodatko-
wo ilością paciery, świe-
czką postawioną u krzyża.
Gorsza sprawa z opinią
miasteczka. Złych jezorów
niech nie przekupisz. I
na tym właśnie polega swo-
isty makławelizm kobiet. Nie
sa jeszcze one wyzwolone
spod wpływu ambony i opi-
nii jaką ona urabia, ale cho-

dzi już im tylko raczej o po-
zory, o opinie.

Takie to są ścieżki, któ-
rymi pewne prawdy docie-
rają do świadomości tych
ludzi. Być może jeszcze kil-
ka lat, a pójdą do sklepu
po te „paskudztwa” wyzby-
ci fałszywego wstydu. Mi-
mo pozornego zastoju i
bierności w tej drażliwej
kwestii — idziemy jednak
naprzód. A może doczeka-
my się i tego, że wdzięcz-
na pacjentka powie mi
„dziękuję”?

P.S.

Ze względów zrozumia-
łych, nazwisko i adres au-
torki pamiętnika, położnej
jednej z niewielkich osad
w naszym województwie
— pozostaje tajemnicą re-
dakcji. Autorka pamiętni-
ka poruszyła wiele interesu-
jących problemów i zapewne
uwagi jej obudzą duże za-
interesowanie naszych czy-
telników, szczególnie ze
wsi. Red.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Kochankowie

Świat dziejami przepływa,
Byстрыm nurtem zdarzeń i ludzi.
U brzegu drga ta piosenka
Jak Ofelia nieżywa.

Ukochany mój, idę!
Wiatr liście na drzewach nastraja
I ciszę w polu i jeszcze koła na wodzie.
Nawał wieczoru jak utrzymać w ramionach?
Uroniłam cień swój zapóźniona
W ogrodzie.

Nie biel twoich ramion, nie czar —
Dal się w przeblaskach odkrywa.
Nie powiew, nie wiew —
Piorun za chmurą przywarł.
Przelamana na wzgórzu ścieżka.
Ogród na wietrze jak płomień padł.
Wola mnie namilność
Inna, silniejsza...

Upalnym strumieniem płyną głosy.

Ukochany mój, idę!
Pełną piśczęć siebie przynoszę.
Drżąc o rosy tracam, o rosy...

Don Kichot

Kopyt tętentem
Szlak nie kończący się drży.
Twarz kryje półmrok albo przyłbica.
Lecz postać? Poznaję cię. Ty.

Serce wykute z żaru!
A we mnie gotuje się płacz parząc krtani.
Czyż to jest bohaterstwo
Iść zardzewiałym śladem z La Manczy?
Don Kichocie, zatrzymaj się, stan.
Drży kopia schyłona, napięta jak nerw.
Otworzy się rany. Nie świta.
Sny, duszne sny.
W pętli wichrów drętwiejąc okolica rzeź.
Widzisz. A ty?

Walka, walka!
Szalony, dokąd pędzisz w galopie?
To wiatraków snów i urojeń.

Postać rozwiewa się.
Noc tratuje mnie niepokojem.

Przechadzka

Przed siebie iść krajobrazami
Zapadać w zaspach. Drwić z śnieżycy
Lub jak w dzieciństwie — za saniami!
I sopie lodu u strzech liczyć...

Wrócę z przechadzki i drzwi przymknę.
Odtają zimy i zawieje.
Zar bucha z pieca. Śniegulinkę
Niosę w pamięci. Nie stopnieje.

Ludzka rzecz

Dym z domostw ścieżką wproś do nieba...
Czy tedy schodzisz stając przy mnie?
Nie wolaj wspomnień. Nie potrzeba.
I oszczędź skrzydeł: drżaj na zimnie.

Miedzy anioły policzona
Schodząc wieczorną gwiazdą szcącasz.
Lecz dla mnie ziemia i iza słona
I ludzka rzecz przemijająca...

Z tomu „Wiersze wybrane”, który ukaże się nakładem
Wydawnictwa Łódzkiego.



Z „BABKAMI”

ŁODZIANIE I ŁODZIANA • ŁODZIANIE I ŁODZIANA • ŁODZIANIE I ŁODZIANA

Zbiory tego typu uchro-
niły wiele ciekawych pa-
miątek, dzieł ważnych dla
kultury, zasiliły biblioteki
regionalne.

Sledzenie literatury i ru-
chu wydawniczego Łodzi
jest szczególnie pasjonują-
ce. Podczas gdy w wielu
ośrodkach zastępy zbiera-
czy, szperaczy, a wreszcie
naukowców od lat zbierały
pamiętki historyczne i lite-
rackie, Łódź była miastem
bez tradycji a kiedy wzro-
sło zainteresowanie jej hi-
storią, okazało się, że wiele
materiałów zginęło bezpo-
wrotnie.

Po wojnie straty w zbiorach
łódzkich były spore.
Uległy zniszczeniu bibliote-
czki domowe inteligencji
polskiej i żydowskiej, po-
dobny los spotkał część
zbiorów Niemców łódzkich.
Dziś niesłychanie trudno od-

tworzyć losy księgozbiorów
w Łodzi.

Trwa jednak praca nad
zgrupowaniem materiałów
do przyszłej bibliografii Ło-
dź. Kilka instytucji, jak
Archiwum, Biblioteki Miejs-
ka i Uniwersytecka, oraz
kilku zbieraczy stara się
zgromadzić możliwie pełną
dokumentację literacką na-
szego miasta. Ale zadanie
okazało się niełatwe. Ilość
druków bardzo wzrosła i
trudno dziś nadrobić wszyst-
kie zaległości. Wiele czo-
pism, sprawozdań instytucji,
jednostek itp. zaginęło
być może bezpowrotnie.

Od pierwszego druku od-
bitego w Łodzi, którym był
wydany w roku 1846 akt
uroczysty zakończenia rocz-
nego kursu w Szkole Po-
wiatowej, powstało w Łodzi
tysiące wydawnictw. Sa-
mych czasopism według ob-

liczeń pracowników Biblio-
teki Uniwersyteckiej od ro-
ku 1863 (uwaga, zbliża się
stulecie rocznica) ukazy-
wało się w Łodzi około 600.

Zbieraczy cieszy każda
broшура, każda wzmianka.
Odnalezienie anegdota Ro-
bickiego wydaje im się zda-
rzeniem co najmniej cieka-
wym. Zbiory ich zdobną ta-
kie rzadkie okazy, jak pier-
wodruk pierwszego utworu
literackiego o Łodzi, poema-
tu Wiktora Długoskiego o
Pawle Łodzi Kubowiczu
z r. 1857, lub wójtlegien-
darna książka „Eine Mü-
ze voll mit Witze von Lodz bis
zum Pabianitz”.

Jeden ze zbieraczy twier-
dzi uparcie, że ma tę książ-
kę, ale twierdzi również, że
ulubionych i rzadkich
egzemplarzy nie należy byle
komu pokazywać.

Typy zbieraczy są różne.

Ktoś na przykład zbiera pra-
ckie rozrywkowa, która zna-
lazła tu przed wojną tak
podatny grun. „Lord Li-
ster-tajemniczy nieznajomy”.
„Pat i Patachon”, „Adam i
Ewa”, „Śmieszne życie w
trójkacie” — to druki do-
szcześnie czytane przez
młodzież i nie tylko mło-
dzież. Choć nie były one
chlubą kultury naszego
miasta, trzeba, by zachowa-
ły się przynajmniej ich po-
jedyncze egzemplarze. W
przeciwnym razie przejdą
do legendy... Idealizowanej
we wspomnieniach star-
szych panów. Inny amator
„łodzianów” stara się między
innymi o sprowadzenie
książek zagranicznych poru-
szających sprawy łódzkie.
Z Wiednia otrzymał powieść
Rothe „Hotel Savoy”, któ-
rej fabuła rozgrywa się na
ulicy Traugutta, zaś ze Sta-

nów Zjednoczonych angiel-
skie tłumaczenie łódzkiej
sagi żydowskiego autora J.J.
Singer: „Bracia Aszkena-
zy”. Jakże emocje budzi
zbieractwo „łodzianów”
niech świadczy fakt, że w
rozgardiaszu wojennym ktoś
wyszabrował z Biblioteki
Miejskiej prawie wszystkie
ciekawsze druki łódzkie.
Kto to zrobił? Kto miał w
tych czasach czas i ochotę,
kierując się specjalnym ka-
talogiem, wybrać tego ro-
dzaju dzieła? Czy był to
któryś z niemieckich miłoś-
ników miasta, czy ktoś ze
swoich — do dziś nie wiadomo.

Niestety, większość mi-
łośników naszego miasta
nie zdaje sobie sprawy ze
znaczenia jakie mają naj-
mniejsze nawet „łodziana”.
Rozproszone tu i ówdzie po
zakamarkach łódzkich mie-

szkań druki polskie, nie-
mieckie, rosyjskie i żydow-
skie ulegają ciągłemu ni-
szczeniu. Dzięki zbiornicy
odpadków bibliofilie urato-
wali od zagłady niejedną
łódzką druk, wymieniając
go na rzeczywiście makula-
turę.

A przecież każdy łódzki
druk, czy to będzie nielegal-
na gazetka socjalistyczna,
powieść, tom wierszy, czy
tylko, zwykłe sprawozdanie
z fabryki, spółdzielni lub
szkoły powinien znaleźć się
w zbiorze, który potrafi
uchronić go od zniszczenia
i udostępnić naukowcom i
szperaczom.

odgłosy str. 7

Cudów nie ma również w życiu społecznym...

„Mało obchodzi ludzi stwierdzenie takiej czy innej zależności między wilgotnością powietrza a kolorem łusek na skrzydłach motyla, lecz postawmy tezę o zależności między produkcją a religijnością — to niezależnie od sprawy, czy twierdzenia o obu tych zależnościach są równie uzasadnione — wokół zagażenia powstanie dyskusja daleko wybiegająca poza ramy nauki”.

Ten cytat, jak również kilka innych myśli, które tu Czytelnikowi przedłożę, zaczerpnąłem z pracy „Sociologia, ideologia i technika społeczna”, napisanej jeszcze w 1947 r. przez tegorocznego laureata nagrody naukowej Łodzi — prof. Jana Szczepańskiego. Najbardziej lapidarnie oddaje ona zarówno sens jak i trudności jednej z najmłodszych humanistycznych nauk — socjologii.

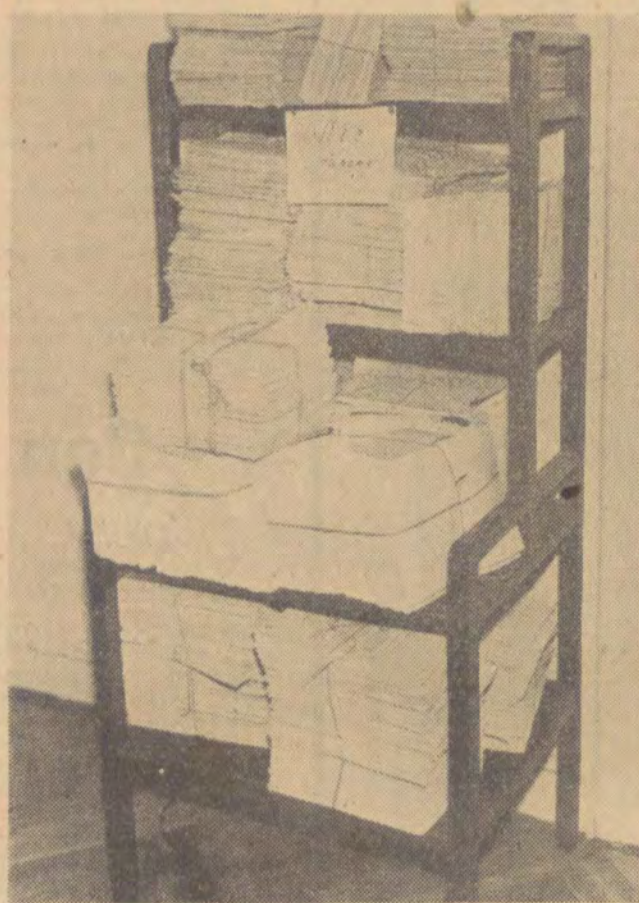
W istocie, bowiem każdy zakreśla sobie mniej lub więcej wyraźną granicę uznawania autorytetów. W sprawie zbawienia duszy własnej skłonny jest przyjąć takie czy inne religijne dogmaty. Gdy idzie o leczenie cierpień fizycznych — bez specjalnych oporów poddaje się zaleceniom lekarza, znachora lub „babki”. Ale gdy stawka ma być „zbawienie świata”, urządzenie go na „lepszych zasadach”... o, tutaj większość ludzi zarezerwuje dla siebie prawo wyłączenie miarodajnej i słusznej opinii.

Tymczasem w życiu społecznym nie ma ani cudów, ani miejsca dla pobożnych życzeń. Rządzi się ono swoimi własnymi prawami, które, równie jak prawa nauk ścisłych, są obiektywne, tyle, że trudniejsze do wykrycia. Śledzeniem tych praw, obserwowaniem procesów i zależności występujących w stosunkach między ludźmi zajmuje się właśnie socjologia.

Socjologia jako nauka nie ma jeszcze 150 lat. Z tego zaś co najmniej lat 120 była „sociologia filozofująca” lub „filozofia społeczna”. Zajmowała się wielkimi zbiorowościami ludzkimi: „makrosocjologią”. Dziś większość zainteresowań socjologów adresowana jest do małych grup społecznych: kręgów towarzyskich, kolektywów pracowniczych, wychowawczych i produkcyjnych, rodziny, wspólnoty sąsiedzkiej. I słusznie. W tych bowiem małych „organizmach” społecznych pulsuje tętno zbiorowego życia. One pielęgnują tradycję i one zdolne są ją pogrzebać. W nich kiełkują ziarna sprawiedliwego buntu i w nich zakrzepnąć może bierność, tępy opór przeciw postępowi. Do tych kręgów trafiają przede wszystkim idee i propagandowe hasła. Te kręgi właśnie będą owe idee i hasła ogładać, konfrontować z normami własnymi i odpowiednio ustosunkowywać się do nich. Przez te kręgi dopiero będzie jednostka wyrażała swoją opinię o otaczającym ją świecie. Ba! Gdyby o tym wiedzieli nie tylko socjologowie...

Niesposób bodaj pobieżnie wypunktować to wszystko, co współczesna socjologia wie już na pewno o człowieku społecznym, jak i o, czego nie wie, a bardzo pragnęłaby wiedzieć. Dlatego relacja ta będzie z konieczności epizodem niezmiernie skromnym. Tym bardziej, że wiedza o socjologii w życiu potocznym jest jeszcze mniejsza niż o wyższej matematyce.

Spróbujmy jednak.



Nie ruszać! To, zakłute w stertach ankiet tajemnice „mechanizmów” społecznego życia.

Socjolog w bombowcu

Dokładne badania małych grup społecznych zapoczątkowali Amerykanie w swej armii podczas II wojny światowej. Do tej pory ogłoszono już w tej sprawie wiele tomów prac, monografii i komentarzy. Rozszerzono badania na studentów, robotników, zarządzających, towarzyszy, aktywnych i wielu innych. Tu ograniczę się do jednego z pierwszych badań, jakie socjologowie amerykańscy przeprowadzili w dwóch eskadrach bombowców na Pacyfiku w r. 1943.

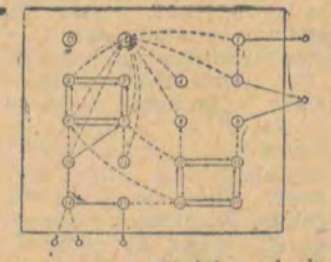
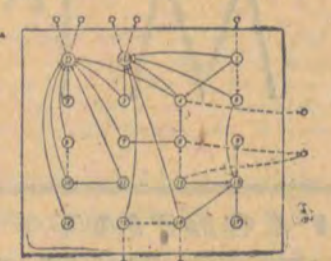
Badanie było bardzo proste. Oto lotnikom dwóch eskadr — nazwijmy je „Eskadra A” i „Eskadra B” — zaproponowano wypełnienie ankiet, w której należało odpowiedzieć tylko na dwa pytania:

1. Z kim chciałbyś odbywać loty bojowe;
2. Z kim nie chciałbyś odbywać lotów bojowych.

Nic nie stało na przeszkodzie szczerej odpowiedzi. Ostatecznie każdemu wolno mieć taką lub inną towarzyską „skłonność” czy sympatię, zwłaszcza w trudnej, odpowiedzialnej i niebezpiecznej służbie lotnika.

Na tej podstawie socjolog wydał opinię, że „Eskadra A” ma wysokie „morale”, jest zespołem dyscyplinowanym i powinna dobrze wywiązywać się z powierzonych jej zadań. Odmienne było orzeczenie socjologa w sprawie „Eskadry B”. Co najważniejsze zaś oba pokrywały się dokładnie z opinią dowództwa wojsk

dra A! jest grupa zwariata: nikt nie wybiera nikogo spoza eskadry, przeciwnie — 9 osób zostaje „odrzuconych”. Natomiast w Eskadrze B „odrzucone” spoza zespołu są tylko 2 osoby, 3 zaś otrzymały „wybór” a wśród członków eskadry widać wyraźnie dwie „kilkki” (2, 3, 6, 7 i 12, 13, 16, 17), które dokonują „wyboru” tylko między sobą.



Socjogramy dwóch eskadr bombowców amerykańskich (dokładniej omówione w tekście)

lotniczych. Tyle tylko, że socjolog potrzebował do tego paru godzin, a sztab lotniczy... wielu miesięcy niepowodzeń i kłopotów.

Tak oto można bez trudu odkryć ów „wyższy rozkład

Koń a sprawa polska...

jazdy”, w którym rządzi dyscyplina świadoma...

Wiadomo powszechnie, że mamy w Polsce o wiele za dużo koni i o wiele za mało traktorów. Rzecz więc — jak każdy niemal bez namysłu (nie wyłączając „Przekroju”) zawyrokuje — powinna poprawić się, gdy tylko „Ursus” osiągnie pożądaną rozmiar produkcji a miejskie rzeźnie zwiększą „przepustowość” końskiego mięsa. Tymczasem, jak się okazuje, rzecz polega nie tylko na dobrej woli i obojętnej pracy inżynierów-mechaników, ekonomistów i weterynarzy. Bo oto przychodzi socjolog i nie kłaniając się roztrzęsionym opiniom „ludzi z miasta” stwierdza, że wieś polska ma do konia sentyment szczególny i wcale nie taki irracjonalny jak mogłyby to sugerować skrzyżnię odnowiane „końskie powiedzonka”: po prostu koń spełnia określoną funkcję w społecznej (tak: w społecznej) strukturze wsi.

„Koń należy niewątpliwie do tych elementów tradycyjnej techniki i kultury chłopskiej, które z jednej strony nadawały jej charakter samowystarczalności, a z drugiej — sobokowskiego zamknięcia się w swoim świecie i odwrócenia tyłem do reszty świata. (...) Przejście od konia do traktora wiąże się z zasadniczymi przeobrażeniami całej społecznej struktury wsi. Oznacza to między innymi upodobnienie wsi do miasta pod pewnym zasadniczym względem: rodzina i sąsiedztwo przestają być wyłączną podstawą całej organizacji społecznej. Przewagę zaczyna zdobywać element młody, nierodzinny — efitą stają się młodzi kawalerowie traktorzyści i panny traktorzystki, którzy usuwają w cień stacjonarną elitę rodzinnych kmielców (...). Przy traktorze, który uzależnia rolnictwo od całego systemu techniczno-gospodarczego, socjalizacja wymaga wyższego poziomu świadomości społecznej”.

Oczywiście, w tym stanie rzeczy mechanizacja wsi przestaje być problemem wyłącznie technicznym — produkcyjnym. Wszakże zrozumienie problemu jest już poważnym krokiem do jego rozwiązania. Natomiast zacytować „chłopskim zacytowaniem” nie jest jak widać, dowodem umysłowej wyższości mieszczuchów,

Łódzki Ośrodek Socjologiczny

Czas na informację w trybie baedekerowym. Łódzki Ośrodek Socjologiczny (ul. Uniwersytecka 3, IV p.) obejmuje:

- dwie katedry socjologii;
- Zakład Badań Socjologicznych Polskiej Akademii Nauk — prof. dr Jan Szczepański;
- Redakcja „Przeglądu Socjologicznego” (jedyną poświęconą wyłącznie socjologii czasopismo w kraju);
- Łącznie w Ośrodku zatrudnionych jest 17 pracowników naukowych, w tym 2

profesorów (wymienieni wyżej), 3 docentów (dr dr Antonina Kłoskowska, Aleksander Kamiński i Jan Lutyński) oraz 4 adiunktów i 8 asystentów. Poza tym 50 studentów łącznie na I, II i III roku studiów (studia socjologiczne wznowione zostały w 1957 r. po przerwie trwającej od 1949 r.).

Ośrodek Łódzki jest — bez lokalnego patriotyzmu — przodującym ośrodkiem tego typu w kraju i zainteresowaniami swymi wykracza daleko poza obręb naszego miasta. Warto tu dodać, że w ogóle w Polsce jest niespełna 200 osób z socjologicznym wykształceniem, z tego mniej niż połowa zajmuje się aktualnie

runkowaniami produkcji i wydajności pracy.

3. Badania nad kulturą masową (film, czytelnictwo prasy codziennej i czasopism, radio).

4. Badania nad rodziną (nieco szerzej omówię je poniżej).

5. Socjologiczna analiza Łodzi. Badania prowadzone wspólnie z Łódzką Pracownią Urbanistyczną, zmierzające do ustalenia naturalnego podziału przestrzeni miasta, tak, jak to wygląda w świadomości jego mieszkańców, a nie na mapie. W tych badaniach skupiono także uwagę na nowych osiedlach mieszkaniowych — o czym nieco szerzej powiem również osobno.



Czytelnia Ośrodka Socjologicznego. Oprócz „książkowej mądrości”, studenci zdobywają wiedzę także w obowiązkowych praktykach „w terenie”. Socjologia wszak wyszła już z gabinetów naukowych.

socjologia. Pod tym względem redakcja „Odgłosów”, mając w swym składzie dwóch socjologów, jest szczególnie uprzywilejowana... ale właśnie dlatego lepiej rozumie potrzeby Czytelników (czyżby? — dopisek zecera).

Z badań, jakie Łódzki Ośrodek Socjologiczny prowadził w ostatnim okresie i prowadzi nadal, trzeba wymienić:

1. Badania nad społeczno-zawodową strukturą inteligencji. Są to „najstarsze” badania: trwają od 1945 r., cały już okazał się dorobek i skupiły największe polemizy namietności, o czym mogli się przekonać Czytelnicy „Przeglądu Kulturalnego”. „Polityki”, „Orki” i innych tygodników społeczno-kulturalnych. Badania prowadzone były w kilku kierunkach. Objęto nimi losy społeczno-zawodowe byłych studentów Uniwersytetu Łódzkiego, uczestników kursów przygotowawczych na wyższe uczelnie, słuchaczy techników dla „robotników wysuniętych”, wreszcie badania szczegółowe nad pozycją społeczno-zawodową i kulturalną poszczególnych kategorii inteligencji: naukowych, pracowników umysłowych, tzw. „inteligencji twórczej” (do której zaliczono uprzejmie również nas — dziennikarzy i za co mamy obecnie sposobność do rewanżu), inteligencji technicznej i innych. Częściowe rezultaty badań — nie licząc wspomnianej wyżej publicystyki — zostały podsumowane w dwutomowej pracy, która niedawno ukazała się pod redakcją prof. Szczepańskiego.

2. Badania — znacznie, bo kilkanaście lat „młodsze” od poprzednich — nad strukturą klasy robotniczej oraz nad społecznymi uwa-

6. Badania nad społeczną adaptacją repatriantów, prowadzone wspólnie z Instytutem Śląskim.

„Model” łódzkiej rodziny robotniczej

Jest właśnie sposobność, aby Czytelnik przekonał się, jak trafna była cytowana na wstępie opinia prof. Szczepańskiego. Przypuszczalnie rezultaty, do jakich doszła doc. Kłoskowska w badaniach „modelu rodziny robotniczej” Łodzi, wykracza daleko poza ramy „czyściej” socjologii. Oczywiście trzeba tu lojalnie zastrzec, że nikt na razie nie traktuje rezultatów tych badań jako absolutnie wiernego i skończonego wizerunku poglądów robotników łódzkich na „model” rodziny, rolę kobiety w rodzinie i stosunek do potomstwa. Warto wszakże przyrzeć się bliżej tym „socjologicznym sygnałom”, bo są bardzo ciekawe i pouczające.

W badanych rodzinach 67 proc. kobiet-matek pracuje zawodowo. W tym spośród posiadających jedno dziecko — ponad 80 proc, dwoje — 64 proc., troje i więcej dzieci — blisko 60 proc. Jak w tym stanie rzeczy przedstawia się stosunek mężów-ojców do pracy zawodowej kobiet?

Otóż ponad 92 proc. badanych mężczyzn uznaje „w ogóle” pracę zawodową kobiet, a 88 proc. dodatkowo jeszcze stwierdza wyższość kobiet w niektórych dziedzinach pracy zawodowej i opowiada się za słusnością polityki równych płac mę-

Dokończenie
na str. 11

Władysław Rymkiewicz ROMANS KROLEWSKI

Powieść historyczna

X.

Streszczenie

Akcja „Romansu królewskiego” rozgrywa się w XVII wieku w okresie walk z kozaczyszyną. Po bitwie pod Beresteczkiem zakończono zwycięstwem oręża polskiego, szlachta — podburzona przez kanclerza Radziejowskiego, z którego żoną romansuje król Jan Kazimierz — odmawia pościgu za wycofującymi się wojskami kozackimi. Podkanclerzy Radziejowski jest jednak wyraźnie zaniepokojony zbyt nagłym obrotem rzeczy.

ROZDZIAŁ VIII

Lysina jak wypukła powierzchnia wygładzonego i wymytego przez deszcze kamienia wsunęła się przez szparę między cwielihowymi zasłonami, a za nią na podobieństwo mchu, którym wygaca się szczeliny między belkami w ścianie chałupy, wypetrza szarozielona broda księdza Cieciszewskiego, który przemówił nosowym głosem: — Pochwalony!

— Na wieki wieków — odpowiedział podkomorzy i na chwilę zaniemówił ze zdziwienia z powodu zbolalego wyrazu twarzy spowiednika królewskiego, wyrazu, w którym desperacja i rozpacz osiągnęły napięcie, jakiego Butler nigdy jeszcze nie widział u nikogo, nawet u księdza Cieciszewskiego, znanego przecież z tego, że cierpi na melancholię połączoną z chorobliwym, maniackalnym lekkiem o przyszłość Rzeczypospolitej.

Zapartek podsunął stołek. Ksiądz usiadł, obciągnął litche, pomarszczone, egiptochowe sukno sutanny i oznajmił z cichą rozpaczą: — Wszystko stracone. Ichmoście radzą właśnie w kole generalnym — sługa boży wznosił ręce jak przed ołtarzem na Dominus Vobiscum. — Król jegomość otrzymał już pierwsze wieści z obrad. Nie chcą ichmoście z pospolitego ruszenia ciągnąć w pogoń za nieprzyjacielem, lecz chcą wracać do żon, do domów, do pieprzyn a król...

Butler wstał z posłania, skinął na Zapartka. Pomagając się panu ubrać Gabrys z dumą pokazywał księdzu pęgi rdzy od zbroi na kurcie losiowej swego pana, sławnego żołnierza koronnego.

Widok ten jakby podniósł na duchu kaznodzieję. — A król jegomość zamiast wydać pospolitemu ruszeniu rozkaz marszu na Kijów...

Wyszli z namiotu. Bazarnicy i szynkarki obozowe zwijali kramy, zamykali budy, ładowali towar na wozy. Szykowały się też do odjazdu kukutki nocne, nierządnic, panie wesołe.

Podkomorzy siedł mocnym, wydłużonym krokiem. Ksiądz nie mogąc nadążyć biegł u boku Butlera jak długie, kosmate, zziębnięte zwierzę.

Zaczęli przeciskać się przez tłum otaczający pułkowników obradujących w kole generalnym na majdanie. Mdląca wonia potu, gorzał-

ki i juchtu cuchnęła mazowiecka szlachta szaraczkowa między którą się przepychali. Ze środka koła dobiegały pojedyncze zdania podburzającego przemówienia. — Król chce pospolite ruszenie do rygoru wojskowego przymusić, wydał ordynans, żeby szlachtę do pułków kwarcianych po-Przydzielać — z beczi słuszającej za trybunę perorował rozsierdzony mówca z wasami na pół łokcia. — Podobnie jak Chmiel, co czerń pomiędzy pułki kozackie porozdzielał — w miarę jak przybliżali się do środka koła, głos wrzasku nabierał wyrazistości. — Spótyponował tedy król stan szlachecki.

— Hańba! Fora! A ogon pod siebie! — wrzasnęło Mazowsze.

Wyniesiony na barkach ichmościów następny mówca gramolił się na beczkę. Pan marszałek koła, podca-szy sandomierski Marcin Dębicki, zasapany, odchrząknął i przeciągnął palcami po wąsach. — Wielmożni a mnie wielce miłośnicy panowie i bracia! Lubo wdzięczna jest Bogu każda ofiara, jak powłada nasz przesławny ksiądz Cieciszewski, aliści osobiście miła od tego, kto krew swoją za dostojeństwo święte Pana Jezusa Chrystusa naszego na plac niesie.

Rozejrzął się na wszystkie cztery strony po tłumie pan podca-szy badając, jakie wrażenie wywarł wstęp na słuchaczy. Szlachta milczała wyczekując.

— Panowie bracia! — Słowami kaznodziei prawic kontynuował pan Dębicki. — Wola na nas krzywdą boska od pohańców poniesiona! Wołają świątynie Pańskie, od nich po całej Polsce sprofanowane! Wola krew braci naszych i ojczyzna, ręką ich spustoszona! Wola na ostatek Najświętsza Panna Matka Boska...

Szmer niezadowolenia i podejrzliwości szerzył się z szybkością płomienia. — Co to, kazanie prawi pan marszałek? — ktoś krzyknął w pobliżu Butlera.

Mówca wyciągnął ręce przed siebie i głośno powietrzył, jakby usiłując prężyć o cierpliwość ugasić pożar. — ...która imienia przeczyszczy i że te sprofanowane hańce Jej błuznia, żebyśmy się tedy ujeli szczerze za zniewagi...

Wrzawa zniosła dalsze słowa podca-szego. — Zdrajca! Precz! Fora! Huzia! — wściekle okrzyki wzbijały się ze wszystkich stron. — A za-się!

Nad beczką wyrosło kilka par rąk wyciągniętych po mówcę. Oganiał się przed nimi pan podca-szy, chciał dalej przemawiać. Łapczywe ręce ucpiły się jego nóg, żupana, bioder i wśród o-belg i wyzwisk zwlokły na ziemię.

Duża jak młyńskie koło, malinowa tarcza słoneczna zawisała nad widnokresem. W wylocie ulicy między namiotami polyskiwała żarówkowa wstęga Styru, widoczna z majdanu położonego na naturalnym wzniesieniu gruntów. Od łąk zalaływało chłodem pachnącym rzeką i sitowiem.

Cizba wyniosła na beczkę pana podkanclerzego. Hie-

ronim Radziejowski podpartszy się rękami pod boki rozglądał się z wysoka po zgromadzonej szlachcie.

— Wielmożni panowie bracia! Żadna rzecz nie może gruntować przedsięwzięcia ludzkiego, dokądby się nie oparła o samą istotę słuszności — zaczął z górnego tonu i na chwilę zastuchał się w zamierające echo słów i w pełną ciekawości ciszę.

— Zasie i samo rozporządzenie nieba tak miarkuje sprawiedliwości świata tego, że jednym odbiera, a drugim daje...

W pobliżu Butlera westchnął ktoś boleśniewie. — Odbiera, dobrodziej, odbiera.

— Króciusięko tedy i uniesienie wobec moich wielmożnych panów braci powiem,

rak podkanclerzy zwałł się z beczi na ziemię. Ichmościowie zarechotali rubasznie. Śmiech objął całe koło. I nagle zgasł. Zapadła wyczekująca cisza. Nastrój wyczekiwania przeciągał się, zmienił się w głuche zniercierpliwienie.

Szmary popłynęły nad głowami. Ludzie zaczęli wyciągać szyje i obracać twarze w stronę Styru i mostu na rzece, przez który ciągnęły dwa niemrawe sznury mrów i pęsi uchodzili z obozu. bozu (z daleka wyglądał jak dwa niemrawe sznury mrówek). Szmary przeszły we wrzawę. — Odjeżdżają! — Przeszywające krzyki podniosły się nad tłumem. — I my za nimi! — wrzasnął ktoś. — Do domu!

Tłum zakolysał się. Kłnąc, gniotąc się, deptać tłoczył



Rys. Tadeusz Kocięta

że to, co nam niebo z łaski Wszchemogącego dało, owo ogromne nad Tatarami i Kozakami zwycięstwo — z patosem wywodził mówca — że tej przewagi nie godzi się nam utracić i zmarnować. Ino sięgnąwszy za broń lecieć za pobitymi i z łupów ich odarłszy, z wielką chwałą oręża polskiego, ze zdobyczą i trofeami szczęśliwie, dać Boże, do domów powrócić.

Wyjąca burza protestów, wrzask, zgłęb, wrzawa, przekleństwa wstrząsnęły mrowiem zgromadzonej szlachty. — Hańba! Zdrada! — w przeraźliwym hałasie powtarzały się wyzwiska.

Ściągnięty przez kilka par

się motloch szlachecki, spływał hurmem z majdanu, wypychał gromady ludzi w ulice między namiotami.

Ksiądz dopadł Butlera w pobliżu załkniętego w ziemię drzewca z chorągwią nadworną z turkusowego jedwabiu przed namiotem królewskim i jak sapiące wło-chate zwierzę upadł mu na piersi. W przystępie rozpaczy i szaleństwa chwycił oberstera za kurtę, zaczął nim szarpać i potrząsać. — Jam pod Zborowem nakłonił króla, żeby przemówił do wojska. Waszmożno! Zrób teraz. Może uda ci się przekonać miłoścywego pana, żeby wydał rozkaz. — Pachnąca kurzem i stęchłą brodą

stąpili ode mnie. Odebrali mi zwycięstwo. Nie chcą do-kończyć wroga, nie chcą iść za nieprzyjacielem. Wola do domów. Zatem i ja wracam do Warszawy. Hetmani z wojskiem kwarcianym niech idą za ordą. Na ich barki składam ciężar wojny.

Butler schylił się, podniósł chusteczkę.

— Miłoścywy pan obrażony na poddanych — w szorstkim głosie zabrzmiał akcent ironii, przyduszony przy schyłku się i podnoszeniu przez zaczerpnięcie do płuc powietrze.

— I jako Achilles zamknął się miłoścywy pan w nami-

ocie i nie chce wyjść do pospolitego ruszenia.

Król cofnął się miękko, zadowolony, podejrzliwy, zrażony, nieufny.

Butler siedł za królem.

Król cofnął się z wolna ob-serwując podążającego za nim oberstera, cofał się jak gdyby starając się o zachowanie dystansu dzielącego go od oberstera, który siedł za nim i mówił: — Żeby sobie posłuszeństwo zapewnić, król winien mieć nienaruszoną wolę poskromienia swawoli i zmuszenia warcholów do ugięcia karków. — Butler spojrzał królowi przenikliwie w oczy.

Jan Kazimierz zapadł w fotel, odrzucił głowę na oparcie i słuchał z wyrazem apatii i znużenia.

— Ilekróć się król zawa-ha, ilekróć cofnie się przed trudnościami, upada jego autorytet.

Jan Kazimierz zerwał się z fotela.

— Dosyć. Król narodowi, ale i królowi pomocy winien używać. A ichmoście klody mi ino pod nogi rzucają i obelgami jak żółcią poją. — Jan Kazimierz wyszarpnął swą koronkową chusteczkę z ręki oberstera i cofnął się podejrzliwie o krok. — Takiego więc króla mają, na jakiego sobie zasłużyli — mówił chichocząc zjadliwie. — Sami mnie doprowadzili do tego, że mnie już chce odeszła, żeby im panować! — dowodził z nieprzejednaną złością. — A wreszcie, żeby wytrwać z Polakami, na to trzeba być albo wielkim świętym, albo nigdy nie wątpić w siebie.

— Mówisz, miłoścywy panie — Butler patrzył pod nogi — jak byś nie był Polakiem.

Jan Kazimierz dopadł do faworyta i ujął go gwałtownie za rękę, którą przyłożył do swej piersi. — Trzeba by mi zadać tutaj głębokie cięcie — powiedział z uniesieniem — żeby ze mnie wszystką krew szwedzką wytoczyć.

Butler zaszepcony dziobnął końcem rapiera ziemię.

— Miłoścywy panie — zaczął z nieugiętą stanowczością — rozkaz trzeba wydać pospolitemu ruszeniu.

— Nie usłuchają — król zasłonił się rękami jak przed uderzeniem. — Nawet Wiśniowiecki na próżno używał swego wpływu.

— Otrąbić w pułkach, że król wyrusza z wojskiem w pościg za nieprzyjacielem — domagał się Butler.

Jan Kazimierz cofnął się za fotel i trzymając się obu-racz oparcia potrząsał przeczącą głową. — Nie męcz mnie! Zle mi doradzasz. Nie wydaj takiego rozkazu! Nie zmuszaj mnie! — Rzucił się w fotel i jakby zapadł w siebie.

Butler pochylił się z szyderezym politowaniem nad wstrząsaną niemieckim lkaniem wąską piersią potomka Wazów, w którym kołatała się zagubiona siła drapieżnej rasy normandzkiej, w którym tliła się gasnąca iskra potęgi, i którego on, Butler, wynosił ponad zwykłą ludzką przeciętność do godności Pomazańca bożego, wyznaczonego przez Opatrzność do sprawowania władzy i rządów nad narodami.

D. o n.

odgłosy str. 9

PATRZ
PATRZ
TELE-
WIZOR

Kartki z dziejów kobiety

Dokończenie ze strony 2

mężczyźni, przynosili jedzenie i słowa otuchy. Przez 15 tygodni przebywały robotnice w zimnych murach fabryki, pozbawione przez niewien czas wody i ciepła, naróżnione na padkarskie ataki działy „Pracy Polskiej”, („Złoty” związek zawodowy). Walka kobiet energiczna i wytrwała toczyła się w atmosferze serdecznego braterstwa całej Łódzi robotniczej. Miasto, choć wyczerpane kryzysem i bezrobociem nie szczędziło grosza na podtrzymanie strajku bohaterów kobiet. I nie tylko robotnicy, ale również drobni sklepikarze, kioskarze, chłopcy ze wsi podłódzkich zasilali materialnie walkę kilkuset wynędzniałych kobiet przeciwko kapitalistom-cudzoziemcom.

A kiedy 1 Maja wyszła z transparentem na ulice Łódź delegacja kobiet z fabryki Hoeblera, opinia publiczna miasta doznała wstrząsu. Blade wymierzone kobiety — stanowiły żywy akt oskarżenia dla sanacyjnych władz, a dla świata pracy — symbol jedności robotniczej. Nie było już więcej odrębnej sprawy mężczyzn i kobiet, lecz jedna sprawa walki wszystkich ludzi pracy z Hoeblerami. Widok delegacji tak dalece wstrząsnął ludźmi, że ze wszystkich stron rozlegały się żądania usunięcia z Polski barona Hoeblera, jako uciążliwego cudzoziemca. Wrzenie ogarnęło także i Związki Zawodowe, które postanowiły poprzeć załogę Hoeblera strajkiem powszechnym w przemyśle włókienniczym.

7 maja pan baron ustąpił. Żądania strajkujących kobiet zostały uwzględnione.

Nie sposób wymienić wszystkich akcji, podejmowanych przez włókienniki łódzkie w obronę praw robotniczych, trudno też opisać kobiece akcje ofensywne zmierzające do obalenia ustroju wyzysku. Warto jednak pamiętać, że ruch kobiety nabrał rozmachu dopiero wtedy, kiedy stał się nierozłączną częścią walki klasy robotniczej.

W tej właśnie walce wyrosło szereg wybitnych działaczek robotniczych. Wspomnijmy przynajmniej kilka z nich.

Oto Maria Eigerówna, kandydatka komunistyczna

w czasie wyborów do Rady Miejskiej m. Łódź w roku 1923. W obawie przed aresztowaniem przeniosła się na Śląsk, później zaś została wysłana przez KPP do Związku Radzieckiego.

Oto Henryka Rywosz-Hay, która przez szereg lat stała na czele egzekutywy Komitetu Okręgowego KPP w Łodzi żona znanego komunisty węglarskiego. Do partii wstąpiła jeszcze w 1919 roku, mając zaledwie osiemnaście lat. Jeszcze tego roku odsiadywała karę w więzieniu we Wronkach. Zarzut — komunistka. Od roku 1923 pracowała na terenie Niemiec, gdzie redagowała pismo — „Głos Pracy”. Po powrocie z Niemiec objęła funkcję sekretarza KO KPP w Łodzi i pozostawała na tym posterunku aż do roku 1935. Hay była piękną postacią. Wzięcie, w którym przebywała kilkakrotnie, wykorzystywała zawsze dla pogłębienia wiedzy, uczyła się wytrwale, znała kilka języków, znakomicie pisała i przemawiała. Swoje jedyne dziecko musiała pozostawić pod opieką przyjaciół, a w trudniejszych okresach życia brała się za najcięższe prace fizyczne. W roku 1935 aresztowano Komitet Łódzki, Hay otrzymała 7 lat więzienia. Udało się jej jednak wyostać z więzienia. Natychmiast stanęła do pracy partyjnej w Zagłębiu, gdzie objęła stanowisko sekretarza Okręgowego Komitetu. Na zlecenie władz partyjnych wyjechała w roku 1938 do Pragi czeskiej, gdzie pracowało biuro szkoleniowe dla działaczy komunistycznych Europy Środkowej. Hitlerowcy dopadli ją we Francji, osadzili w obozie koncentracyjnym, gdzie zmarła nie doczekawszy się wyzwolenia.

Należałoby mówić jeszcze o Janinie Ignasiakowej, polsiance komunistycznej z Łodzi, Tekli Borowiakowej, długoletniej delegatce załogi Włocławskiej Manufaktury, Marii Pysiak, wybitnej aktywistce robotniczej, należałoby mówić o dziesiątkach i setkach kobiet, które wraz z całym rewolucyjnym ruchem robotniczym przygotowywały ostateczną klasową kapitalistów i wyprosiły raz na zawsze z naszego miasta barona Hoeblera i wszystkich jego kolegów.

JADWIGA JAŹDŻYŃSKA

Najostrzejsze ołówki świata

VAN HOOF



Czytelnik, szukający w graniu, ukazujące tylko to, co niezbędne — mogą się wydawać po prostu zbyt ubogie, łatwego dowcipu — nie będzie miał zbyt wiele satysfakcji z obejrzenia karykatur van Hoofa. Ten belgijski rysownik stara się oddać od tradycyjnych form żartu. Jego rysunki — oszczędne do ostatecznych

granic, ukazujące tylko to, co niezbędne — mogą się wydawać po prostu zbyt ubogie, łatwego dowcipu — nie będzie miał zbyt wiele satysfakcji z obejrzenia karykatur van Hoofa. Ten belgijski rysownik stara się oddać od tradycyjnych form żartu. Jego rysunki — oszczędne do ostatecznych



Żarty Hoofa częściej można znaleźć w pismach społeczno-literackich, niż w popularnych magazynach, ten typ dowcipu wymaga bardziej wyrobionego odbiorcy. Ulubionym motywem ry-

sunków Belga są zwierzęta — głównie psy, koty i konie.

J-ERT

List do Redakcji

W numerze 8 (104) „Odgłosów” ukazał się artykuł Marka Wawrzekiewicza pt. „Po łódzkich kabaretach przechadzka”. W artykule tym opisano m. in. „Kabaret literacki za dwa złote”. Autor podał tam szereg cennych i istotnych informacji dotyczących działalności tej placówki. Jednak zabrakło

tutaj najważniejszej: wspomniany kabaret powstał i działa w Łódzkim Domu Kultury. Kabaret ten nie jest „własnością” jakiejś grupy (co pragniemy z całą mocą podkreślić), lecz instytucją powołaną i finansowaną przez Łódzki Dom Kultury. Stąd zresztą wynika jego charakter programowo-kształ-

cący. Nie umniejszamy wkładu pracy wymienionych w artykule osób, lecz uważamy, że sami też coś do tego wnieśliśmy — pracę, lokal i... pieniądze.

Kier. Działu Upowszechnienia Wiedzy Łódzkiego Domu Kultury
Marian Koliński

Książki, które czekają na was

Goliński — Światło na fałszy — Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza — zł 16;

„Księga papugi” — Książka i Wiedza — 25 zł.

Broniewski — „Historia architektury — Ossolineum zł 65.

Świderek — „Kiedy piaszki egipskie przemówiły po grecku” — Wiedza Powszechna — zł 20;

Pilniak — „Sobowótory” — Państwowy Instytut Wydawniczy — zł 17;

Singer — „Moje nalewki” — „Czytelnik” zł 15;

Herodot — „Dzieje” t. 1/2 — Państwowy Instytut Wydawniczy — zł 75;

Bajki Warmii i Mazur — Państwowe Wydawnictwo Naukowe — zł 12.—

Słonimski — „W oparach absurdu” — Iskry — zł 15;

Hertz — „Antologia bajki polskiej” — Państwowy Instytut Wydawniczy — cena zł 30.—;

Tuwin — „Polski słownik pijacki” — Czytelnik — zł 55.—;

Wilkońska — „Moje wspomnienia o życiu towarzyskim w Warszawie” — Państwowy Instytut Wydawniczy — zł 40;

„Bajki Murzyńskie” — Wydawnictwo Literackie — zł 28;

Defoe — „Dziennik roku zarazy” — Państwowy Instytut Wydawniczy — zł 17;

Lemański — Wybór bajek — Państwowy Instytut Wydawniczy — zł 17.—;

Morawski — „Kilka lat młodości mojej w Wilnie (1818 — 1825)” — Państwowy Instytut Wydawniczy — zł 50.—

Chłędowski — „Pamiętniki” t. 1 „Galicja 1834—1880”. t. 2 „Wiedeń 1881—1901” — Wydawnictwo Literackie — zł 65.

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98. Tel. 244-79. * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł. * Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk RSW „Prasa” Łódź, Zwirki 17 z. 668. II. 60 r.

Cudów nie ma również w życiu społecznym...

(Dokończenie ze str. 8)

czyż i kobiet. Równocześnie jednak — ci sami badani — w 71 proc. nie są zadowoleni z pracy zawodowej... swoich żon, a aż 96 proc. mając do wyboru jedną z możliwości: 1) podniesienie płacy męża z równoczesnym zaniechaniem pracy zawodowej żony; lub 2) rozbudowanie systemu „gospodarskich” i socjalnych udogodnień przy pozostaniu żony w pracy zawodowej — wybiera zdecydowanie możliwość pierwszą. Gdy zaś trzeba wymienić motyw, dla którego kobieta powinna podjąć pracę zawodową — znów zdecydowanie na pierwszym miejscu stoi motyw pomocy mężowi w utrzymaniu rodziny.

Tak więc moment badań (połowa 1959 r.) trafia na jakiś zwrotny punkt w procesie kształtowania się pełnego społecznego uznania zawodowej roli i samodzielności kobiet. Jest już ona uznawana „w ogóle”. Trafia natomiast na opór „w szczególności” — w odniesieniu do własnej żony. Przypomnijmy, że formalnie

równouprawnienie kobiety w pracy zawodowej ma już ponad 15 lat „historii” — a będziemy mieli poglądową lekcję o czasie, jakiego wymagają faktyczne przeobrażenia w ludzkiej świadomości.

Nie mniej interesująco przedstawia się sprawa poglądów na trwałość małżeństwa. Wiadomo, że w statystyce rozwodów Łódź zajmuje jedno z pierwszych miejsc w kraju: 20 rozwodów na każde 100 zawartych małżeństw. Kwestionariusz badania sugerował kilka określeń małżeństwa, między innymi takie: „Małżeństwo jest sakramentem i nie powinno być rozrywane przez rozwód”. Otóż nieoczekiwanie wysoki odsetek badanych — bo aż 46 proc. — zaprotestowało przeciw temu określeniu, wskazując potrzebę i celowość rozwodu w szeregu przypadkach. Również wysoki odsetek — 68 proc. badanych — wypowiedziało się za regulacją i kontrolą urodzin.

Szereg innych ciekawych wniosków z badań, tu, dla braku miejsca musimy pominąć. Zainteresowani będą mogli dokładnie zapoznać

się z nimi w XIV tomie „Przeglądu Socjologicznego”, który w kwietniu powinien już ukazać się na półkach księgarskich.

„Idealne” mieszkanie łódzianina

Koncepcja „idealnego” mieszkania powstała na marginesie socjologicznych badań Łódź prowadzonych przez adiunkta W. Piotrowskiego wspólnie — jak już wspominałem — z pracownią urbanistyczną. Tym samym „plebiscytowy ideał” łódzianina trafił pod właściwy adres, do ludzi, którzy powołani są, aby mu w miarę swych możliwości sprostać.

Zróbmy tedy pro domo sua notatkę, że skoro niniejszym Czytelniku „Odgłosów” dowiadują się o tym, o czym wiedzą, względnie powinni wiedzieć, urbanisci, to zobowiązuje...

Tym bardziej, że „ideał” mieszkaniowy łódzianina jest wcale skromny, niewygórowany, zupełnie rzeczowy.

Przede wszystkim z czego są zadowoleni lub niezadowoleni mieszkańcy nowego budownictwa?

Jeśli chodzi o wielkość mieszkania, to z 1-izbowych zadowolonych jest 30 proc. robotników i 15 proc. inteligencji; z 2-izbowych — odpowiednio 50 i 34 proc.; z 3-izbowych — 69 i 40 proc.; wreszcie z 4-izbowych — 100 i 45 proc. Jak widać inteligencja wyraźnie „nie nadąża”, ale to nie znaczy, że się buntuje. Procent „niezadowolonych inteligentów” poczynając od 2-izbowego mieszkania waha się w granicach 6—10. Wszelako p o ż a d a n a wielkość mieszkania wyraźnie już określa ambicje: 60 proc. robotników opowiada się za 3-izbowym i 26 proc. za 2-izbowym mieszkaniem. Natomiast 4-izbowego mieszkania pragnie 48 proc. inteligentów, a zadowolony się 3-izbowym 40 proc. Po przełączeniu wskaźnika zage-

zowania na izbę według tych pożądanых mieszkań, oka-

zuje się, że wynosi on 1,26. W 1950 roku (niestety, nie dotarłem do aktualnych danych) zagezowanie to dla Polski wynosiło 1,5, dla Łódzi 1,9. Dziś niewątpliwie jest znacznie korzystniej.

Co zyskali łódzianie w nowym budownictwie? Zdecydowanie na pierwszym miejscu centralne ogrzewanie, dalej gaz, łazienka, „wygody”. Na temat centralnego ogrzewania były, jak wiadomo różne kłótnie, tak jak konsumpcja pomidorów spowodowała potępienie ich przez Akademię Francuską (i to wcale nie z powodu barwy, bo czerwony kolor nie miał wtedy swej symbolicznej wymowy). Łódzianin opowiada się zdecydowanie za centralnym ogrzewaniem i najwyżej będzie wieszał „glinianki” jeżeli to „osusza powietrze”.

Jeżeli zaś są już powyższe udogodnienia, to co jeszcze mieszkanie powinno posiadać? Według kolejności (licząc głosy „za”): balkon, ogródek, garaż (?), szafy w ścianach, komórki (piwnice), piźnię, łazienkę oddzielną od ubikacji. Jak widać i tu, wyłączyw-

szy może garaż, ideał jest zupełnie w normie.

Najbardziej zaś nieoczekiwana jest wypowiedź w sprawie lokalizacji „idealnego” mieszkania. W domku jednorodzinnym widzi je tylko 19 proc. robotników i 23 proc. inteligencji. Natomiast w blokach wielomieszkańczych — odpowiednio — 33 i 26 proc., zaś w blokach likwidacyjnych — 27 i 30 proc. Zdecydowana przewaga „bliskościadziele” lokalizacji mieszkania i jej generalna robotniczo-inteligencja zgodność, dają socjologom wiele do myślenia.

I w ogóle wiele jeszcze niezwykle frastrujących zagadek stoi przed tą nauką, do której na pewno należy przyszłość.

Opracował:
ANDRZEJ MAZUR
Zdjęcia:
EUGENIUSZ KUDAJ

odgłosy str. 11

NOWE FILMY ZAGRANICZNE:

Nocą kiedy przychodzi diabeł

Film Roberta Siodmaka jest reportażem opartym na autentycznych wydarzeniach w 1944 roku. Ilustrowany nawet autentycznymi dokumentami. Jest to jeden z tych reportaży, które nie odzwierciedlają problemu, ale o pewnych problemach przypominają. Gdybyśmy spróbowali streścić sens filmu — wyszłoby kilka truizmów o „we-

wnętrznych” aspektach hitlerizmu: o bezwzględności hitlerowskiego systemu, fikcji prawa i — na tym tle — o niepewnej sytuacji pojedynczego człowieka — Niemca. Te fakty określały jednak rzeczywistość faszystowskich Niemiec; rzeczywistość, w której niewinny człowiek — aby nie doszło do kompromitacji policji — zostaje skaza-

ny na karę śmierci; inny znów człowiek, decydujący się na „nietaktowny” zarzut morderstwa prawnego — zostaje zdegradowany i wysłany na najbardziej niepewny odcinek frontu. O tej rzeczywistości warto jednak ciągle przypominać. Tym bardziej teraz, kiedy znowu dochodzi do faszystowskich wystąpień

J. Z.

Od pewnego czasu Amerykanie upłyniają na naszych ekranach rewanży lepszych i gorszych swoich westernów. Po tych lepszych, jak „W samo południe” czy „Mściciel z Laramie” mamy ostatnio możliwość obejrzeć western znacznie gorszy od tamtych filmów.

Reżyser G. Stevens umieścił akcję swego filmu w czasach osadnictwa na Dzikim Zachodzie, dokładniej w stanie Wyoming. Schemat fabularny przypomina niektóre nasze filmy z okresu „Trudnej miłości” — młodzi osadnicy amerykańscy walczą o prawo do swojej ziemi z posiadaczem dużego rancha. Walka trwa „na śmierć i życie”, a przede wszystkim na ciele i pieści w wydaniu ubarwionym wielką ilością czerwonej farby zalewającej bohaterów filmu. Padają trupy, pędzą galopem na mustangach cowboje, strzelając z coltów „klasycznym” strzałem z biodra. Nieznany cowboy przyjeżdża znikąd, robi porządek z wła-

ścicielem rancha i znika również nie wiadomo gdzie. W przeciwieństwie do większości oglądanych westernów „Jeździec znikąd” nie grzeszy ani dobrym tempem akcji, ani rewelacyjną obsadą aktorską. Po raz pierwszy oglądamy u nas w tym filmie Alana Ladda należącego ponoć do czołówek aktorskiej Hollywoodu. Ja osobiście jednak nie zamienilibym go na Jamesa Stewarta.

Skąd więc stosunkowo słaby western do nas przybył, a właściwie dlaczego go kupiliśmy? Najlepiej chyba wie na ten temat nasza filmowa Rada Repertuarowa. A najprawdopodobniej musieliśmy go kupić w ramach tzw. „handlu wiązanego” — znakomity „Bulwar zachodzącego słońca” albo „Wszystko o Ewie” a na dodatek słabutki „Jeździec znikąd”. A więc ratujmy nasze dewizy i przy chwili czasu i odrobinię pieniędzy idźmy poprzec do kina „konieczny” zakup naszej CWF.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Jeździec znikąd



Kolorowym atramentem

Coś się w łódzkim „światku filmowym” zaczęło wreszcie ruszać! Mamy działające już chwalebnie od roku, arcypożyteczne Lino studyjne. Odbył się Festiwal Filmów Krótkometrażowych, który tylko dziwnym przypadkiem nie stał się imprezą ogólnopolską. Za dwa tygodnie rozpocznie się przegląd etiud Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej. I oto do tego wszystkiego z inicjatywą i wzięciem uczelni, potencjalnego „uciekiera” do Warszawy — wybrana grupa łódzian będzie mogła uczestniczyć w jeszcze jednej interesującej imprezie. PWSiF zorganizowała pokazy najlepszych filmów wszystkich czasów — według listy wytypowanej przez międzynarodowe jury na wystawie brukselskiej. Lista ta obejmuje takie pozycje, jak „Gabinet doktora Caligari”, „Gorączka złota”, „Chciwość”, „Ziemniaki”, „Pancerńik Połomkin” i in.

Co za świetny pomysł! Lecz ponieważ elementarnym obowiązkiem felietonisty jest narzekanie, niechaj będzie mi wolno wyrazić żal, że ów festiwal szkolny ma charakter zamknięty. Ale — jak się zdaje, nie ma na to żadnej rady, szereg tytułów z listy brukselskiej jest chroniony prawami eksploatacyjnymi („Obywatel Kane”, „Towarzysze broni”, filmy chaplinowskie) — i nie można tych pozycji wyświetlać „za pieniądze” w kinach, nawet w kinach studyjnych.

Na pocieszenie można tylko dodać, że wszystkie filmy z brukselskiej listy można zobaczyć w klubach, do których właściwie dostęp nie jest trudny, nawet dla zwykłego śmiertelnika.

Z innej beczki: uczestniczyliśmy ostatnio w kilku premierach polskich filmów. Są to imprezy nader nroczyste, z udziałem autorów i aktorów, wręczaniem kwiatów, gratulacjami. Bardzo miła tradycja, tym sympatyczniejsza, że na owe premiery część biletów bywa sprzedawana w normalny trybie, w kasie kinowej. „Szary widz” ma wtedy okazję zobaczyć z bliska bohaterów ekranu, a nawet, jak się uprze — osobiście nawymyślać realizatorów.

I byłoby całkiem pięknie, gdyby nie drobny aspekt całej sprawy: premiery filmowe odbywają się z reguły w Warszawie. Niezależnie od tego, czy akcja filmu dzieje się w Bieszczadach, w Szczecinie lub Krakowie, czy film został obsadzony aktorami wrocławskimi lub łódzkimi — premiera musi być w stolicy!

Pewien wyłom w tej zasadzie uczynił ostatnio zespół „Start”, który jeszcze przed oficjalną premierą (w Warszawie!) — zorganizował pokaz „Tysiąca talarów” w Chęcinach, w małym miasteczku w pobliżu Kiele — tam, gdzie nakręcono duże partie tego filmu. Ponoć ów pokaz stał się dla Chęcin świętem narodowym...

Piszę to wszystko nie bez kozery. Szykuje się bowiem premiera interesującego filmu „Miejsce na ziemi”. Jak powszechnie wiadomo — lwia część filmu Różewicza została nakręcona w łódzkim atelier i w łódzkich plenerach. Ponadto gra tu wielu łódzkich aktorów.

A więc?... Wniosek niedwuznaczny: niech Łódź stanie się „miejscem na ziemi” dla kolejnej premiery zespołu „Rytm”...

Na zakończenie informacja. Trzykrotnie już domagaliśmy się w „Mieszańcu” sprowadzenia do Polski pierwszego filmu Jacquesa Tati „Dzień świąteczny”. Trudno ostatecznie uznać to za naszą zasługę, ale faktem jest, że CWF dokonała wreszcie tego zakupu — i jeszcze w bieżącym roku ujrzymy „Dzień świąteczny” na ekranach.

Oby tak samo stało się z filmami braci Marx — o które również prosimy!

J. W.



GIULIETTA MASSINA wzbogaciła swój dorobek aktorski jeszcze jedną znakomitą rolą! Tym razem — w filmie reżyserii Julien Duviviera, zrealizowanym w NRF. Film opowiada o losach dziewczyny z prowincji, która znalazła się

ORSON WELLES gra jednocześnie dwie role w jednym filmie! Film ten nosi tytuł „Dramat w lustrze” i jest typowym „kryminałem”, opartym na klasycznym schemacie „kto zabił?”. Nowością jest jednak właśnie dublowanie ról: Orson Welles gra ofiarę zbrodni i adwokata w procesie o zabójstwo. Ponadto w podwójnych rolach występują Juliette Greco i Bradford Dilliman. „Dramat w lustrze” zrealizował w Paryżu amerykański reżyser Richard Fleischer.



KIM NOVAK wystąpiła ostatnio w filmie „Obcy” — kiedy się spotykamy? Jej partnerem jest Kirk Douglas — „najgorszy aktor amerykański”. „Tytuł” ten przyznali Douglasowi amerykańscy studenci. Podobno jednak „Obcy” należy do lepszych filmów amerykańskich minionego roku.



NOWA WERSJA „NĘDZNIKÓW” — nieśmiertelnej powieści Wiktora Hugo — zrealizował wybitny reżyser francuski Jean-Paul Chanois („Bez adresu”). Role Valjeana gra Jean Gabin, Fantine — Daniele Delorme, a postać Cosette odtworzyła wschodząca gwiazdka filmu francuskiego — Beatrice Alta-Riba (na zdjęciu).